Nr. 181. Lwów — Czwartek dnia 9 Sierpnia. **Rok 1894**

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 5 „

Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi
Miesięczna złr. 1·10 | Półroczna złr. 6
Kwartalna „ 3·— | Roczna „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . 3 „
zaś tłustym garmondem po . . . 6 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . . . 20 „
Nekrologia . . . . . . 10 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: śr. | św. Romana | Proch. i Nik. — Jutro: czw. | św. Wawrzyńca | Kałynyka — Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. — Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** — Wschód słońca g. 4 m. 53, Zachód „ 7 „ 15 — Długość dnia g. 14 m. 22, Ubyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 8 sierpnia.

Z uznania godną wytrwałością i energią staroczeski *Hlas Naroda* codziennie wyjaśnia publiczności czeskiej nieużyteczność i szkodliwość taktyki młodoczechów, wyszydzając nielitościwie wszelkie próbki blagi *Narodnich Listów*. Do rzędu takich próbek śmiesznej blagi należy zaiste twierdzenie organu pp. Gregrów, że młodoczesi znaleźliby ad hoc sprzymierzeńców, byleby ich [illegible]. Na to zabawne kłamstwo *Hlas Naroda* słusznie odpowiada, że do konserwatystów młodoczesi nie mogą się zbliżyć z powodu swych demokratyczno-radykalnych [illegible], zaś Niemcy liberalni, do których młodoczesi najchętniej się zbliżyli, nie chcą im podać ręki. Co do Polaków, *Hlas Naroda* przypomina, że p. Herold (r. 1891) zuchwale oświadczył w sejmie czeskim, że oni „sprzymierzyliby się z czartem, byle im to przyniosło korzyść", i dodaje: „Jak w kołach polskich sądzą o polityce młodoczeskiej, na to każdy dzień dostarcza dowodów. Świeżo *Przegląd* oświadcza, że dopóki w Czechach przewaga młodoczechów, wszelkie [illegible] Polaków z Czechami jest wyłączone! Kiedyż zatem i pod jakim warunkiem mogłoby nastąć porozumienie Polaków z Czechami? Oczywiście tylko wtedy, gdyby młodoczesi wstąpili na drogę, którą postępowało stronnictwo narodowe (staroczeskie)". Organ szczerze staroczeski słusznie [illegible] na nasze odezwie uwagi. Jeżeli inne, młodoczeskie, dzienniki okłamują publiczność czeską, przedstawiając jej wywody naszego dziennika w świetle fałszywem, jako niezgodne z naszą ogólną opinią publiczną, wystarczy zaznaczyć fakt, że *ani jedno poważne pismo polskie* nie przemawia za kooperacyą z młodoczechami, a co ważniejsza, [illegible]. Radzie państwa, uznawszy w r. 1891 zupełną niemożliwość związków parlamentarnych z młodoczechami, [illegible] przez pp. Jaworskiego, Madeyskiego, Bilińskiego itd.) nie wahał się ani chwili przystąpić do zwanej koalicyi, która wprawdzie nie jest wymierzona przeciwko narodowi czeskiemu, ale niewątpliwie wrogą się przeciwko stronnictwu młodoczeskiemu. *Hlas Naroda* wyświadcza ludności czeskiej prawdziwą, patryotyczną przysługę, wyjaśniając trzeźwo i chłodno rzeczywistą sytuacyę i niweczące wszelkie manewra blagierskie, które po za Czechami obudzają tylko uśmiech politowania. W Czechach przeszkadzają jeszcze konieczności wytrzeźwienia mas, rozmamięcie niesumiennej agitacyi radykalnej. Byłoby złudzeniem przypuszczać, że w razie, gdyby w Czechach zwyciężył rozum i w wyborach tryumf, o ile możności z czasem cały ogół społeczeństwa z Czechami, porozumienie koalicyi teraźniejszej, ale taki zwrot w Czechach, na który niestety jeszcze nie zanosi się wcale, umożebniłby Czechom wstęp do ligi stronnictw umiarkowanych, z których żadne nie wyrzeka się swych ideałów i dawnych programów, ale każde podporządkowuje je ogólnym potrzebom państwowym.

Skandal, wywołany we Włoszech procesem banku rzymskiego, jeszcze się nie skończył, owszem, teraz dopiero poczęnie się szeroko rozwijać, bo uwolnienie Tanlongi i Lazzaroni'ego tak oburzyło opinię publiczną, iż ministeryum postanowiło wdrożyć nowe śledztwo, ale już przeciwko sędziom, posądzonym o przekupstwo i przeciwko byłemu prezesowi gabinetu Giolitti'emu, któremu świadkowie w procesie bankowym zarzucili wycofanie z aktów śledczych i zniszczenie najważniejszych dokumentów, wykazujących dosadnie winę Tanlongi i jego towarzyszy. Minister sprawiedliwości zamianował komisyę śledczą, złożoną z prezesa florenckiego trybunału kasacyjnego, z radzcy najwyższego trybunału rzymskiego i z jeneralnego prokuratora państwa. Ta komisya zbada szczegółowo każdy krok sędziów śledczych w procesie bankowym, oraz wszystko, co robili dostojnicy państwowi dla zagmatwania sprawy w ten sposób, iżby podsądnym nie można było udowodnić winy. Opinia publiczna pochwala te zarządzenia gabinetu, oświadczając się jednogłośnie za zbadaniem starego parlamentarzysty i pisarza Bonghi'ego, który w [illegible] „nie ekonomiczne trudności, lecz upadek obyczajów, szachrajstwa, kradzieże publiczne, przekupstwa sędziów gubią królestwo". Nieszczęściem Włoch jest — zdaniem Bonghi'ego — nie bankructwa bankowe, ale moralne bankructwo władzy państwowej. Deputowani sprzedają swe głosy, ministrowie niszczą dokumenta, dowodzące winy podsądnych, sędziowie śledczy fałszują protokoły, komisya parlamentarna, wybrana dla zbadania nadużyć deputowanych w szachrajskich, nie przeprowadza żadnych badań i oświadcza krótko, iż nikt nie jest winien. Naród przestał wierzyć w sumienność władzy [illegible]. Trzeba tedy koniecznie oczyścić tę stajnię augiaszową. Więc Bonghi, który za taką charakterystykę stosunków administracyjnych pozyskał powszechne poklaski, zapowiedział, iż jeśli gabinet Crispiego nie odda pod sąd różnych dostojników, sędziów i Giolitti'ego, to on (Bonghi) postawi w parlamencie wniosek, domagający się postawienia przed sądem byłych ministrów, głównie Giolitti'ego.

Tę zapowiedź Bonghiego przyjęto we Włoszech bardzo sympatycznie. Z takiem usposobieniem narodu rząd musi się liczyć, tem bardziej, że nadużycia były nieprzeczone i bardzo liczne. [illegible] rozwinie się na nowo ten bardziej skandal „panamino", i niejedno jeszcze nazwisko pokryje się hańbą, ale największa klęska urośnie z tego dla zjednoczonych Włoch, które od powstania swego aż do dziś walczą z przerażającym upadkiem moralności publicznej. [illegible] Rząd używał swych urzędników do rabowania własności katolickiej, sądów używał do legalizowania tych czynów [illegible] potem zaczęli rabować dla siebie. Nie mogło być inaczej.

Przyjaźń dla Francuzów maleje w Rosyi niemal z każdym dniem. Przed kilku laty z okazyi srebrnego wesela carskiej pary uchwaliła petersburska rada miejska na pamiątkę tej uroczystości wystawić wspaniały most na Newie. Uchwałę tę powzięto wkrótce po odwiedzinach floty francuskiej w Kronsztadzie, gdy [illegible] entuzyazm dla Francuzów był w modzie. Pod wpływem tego entuzyazmu petersburska rada miejska, nie rozpisując wcale zwykłej w takich razach licytacyi, powierzyła budowę tego mostu konsorcyum francuskiemu i ofiarowała mu zapłatę w sumie 6 milionów rubli. Od tego czasu jednak zaszła w usposobieniu petersburskich rajców radykalna zmiana, gdyż przed kilku dniami po bardzo burzliwem posiedzeniu uchwalili oni unieważnić układ zawarty z owem francuskiem konsorcyum. Na uwagę zasługuje ta okoliczność, że te właśnie dzienniki, które dawniej najżarliwiej występowały za zbrataniem się Rosyan z Francuzami, obecnie zmusiły radę petersburską do zerwania układu z nimi.

Korespondencye.

Wiedeń 5 sierpnia.

(*Fundacya Rotszylda. — Podarunek ks. Liechtensteina. — Wolny wstęp do wystaw w „Künstlerhaus"*).

Już w ubiegłym roku gazety doniosły, że baron Nathaniel Rotschild chce posiadłość swą Hinterleithen pod Reichenau w Dolnej Austryi darować na urządzenie przytułku dla nieuleczalnych, lub na stacyę klimatyczną dla ubogich suchotników. Gmina w Reichenau zaprotestowała przeciw temu zamiarowi, gdyż obawiała się, że bliskie sąsiedztwo chorych i szpitali z nieuleczalnymi zaszkodzić mogłoby jej zdrowotności. Nadto i z kół lekarskich odezwały się głosy powątpiewające o wartości klimatycznej Hinterleithen dla kuracyi chorób piersiowych. Rothschild postanowił tedy owe dobra poświęcić na inne cele, mianowicie na przytułek dla inwalidów stanu oficerskiego. Akt darowizny spisany 1 czerwca 1894, a zatwierdzony przez Cesarza, pojawił się wczoraj w *Armee Verordnungsblatt.*

Wedle tego aktu baron Rotschild składa sumę 500.000 koron zaraz, jako fundusz, który nie może być naruszonym, a od którego procenta służyć mają na wyposażenia inwalidów roczną dotacyą po 600 koron. Po śmierci barona majątek ziemski w Hinterleithen i jeszcze inna suma wynosząca 300.000 koron mają być obrócone na stworzenie przytułku z odpowiedniemi stanowi oficerskiemu wygodami dla inwalidów. Z ośmiuset tysięcy koron część będzie użytą na urządzenie przytułku, reszta wraz z pół milionem koron, złożonym teraz, stanowić będzie fundusz nienaruszalny, od którego tylko procenta będą wydawane na cele fundacyi.

Wielki rozgłos wywołał także dar księcia Liechtensteina, posiadającego sławną w Wiedniu galeryę obrazów. Otóż z galeryi tej wybrał on 24 obrazów znakomitych malarzy wiedeńskich z pierwszej połowy bieżącego stulecia i darował je miejskiemu muzeum. Aby ocenić całą doniosłość tego wspaniałego podarunku, potrzeba wiedzieć, że Wiedeń jest bardzo ubogi w malowidła swych własnych malarzy. Myśl założenia miejskiej galeryi obrazów, przedstawiającej rozwój talentów nowoczesnych szkół w Wiedniu, rozbijała się o brak funduszów i o nieudolność rady miejskiej, obawiającej się wprowadzić nową, stałą pozycyę wydatków do budżetu. Muzeum cesarskie sztuki zawiera tylko obrazy starsze i mistrzów obcych; oddział niemiecki słabo się przedstawia, a nowoczesny nie uwzględnia samej sztuki wiedeńskiej. Dla rozwoju malarstwa wiedeńskiego, które mocno w tyle zostało za sztuką współczesną w Anglii, Francyi, Włoszech i Niemczech, koniecznem byłoby trzymanie się pewnej tradycyi. Można technikę do najwyższej rozwinąć doskonałości, ale krajobraz np. wiedeński zawsze będzie nosił pewne cechy lokalne, obraz rodzajowy zawsze będzie odtwarzał te same typy ludowe, (z małemi odmianami w stroju) itd.

Dar księcia Liechtensteina stanowić będzie podstawę dla galeryi miejskiej wiedeńskich malarzy. Między darowanymi obrazami znajdują się prawdziwe perły z czasu największego rozkwitu krajobrazu i rodzajowego malarstwa w Wiedniu — między innemi 17 obrazów Waldmullera.

Osobny oddział w muzeum miejskiem poświęcony tym obrazom będzie odtąd nosić imię ks. Liechtensteina.

Dar księcia zachęcił publiczność do większego zajmowania się sztuką — i to także jest jego zasługą, bo estetyczne potrzeby wiedeńczyków są dotąd bardzo małe. Nic się dotąd nie robiło dla podniesienia artystycznego usposobienia ludności. Z muzyką jest jeszcze jako tako, Wiedeń nawet uchodzi za miasto bardzo muzykalne. Architekturą o tyle się zajmujemy, o ile lubimy bardzo sztukateryami obładowane domy. Rzeźba zajmuje nas tylko na pomnikach. A to i wszystko. Wykwintnego smaku artystycznego daremnaby tu szukać.

W Berlinie dawno już radzą sobie przeciw temu upadkowi smaku urządzaniem bardzo tanich przedstawień, wystawianiem bezpłatnem dzieł sztuki, wielkiem ułatwianiem zwiedzenia w ogóle galeryi. Tu w Wiedniu w tych dniach dopiero udzielono słuchaczom filozofii prawa bezpłatnego zwiedzania wystaw obrazów w „Künstlerhausie".

To ułatwienie wyrobił u stowarzyszenia malarzy dla swych studentów dziekan filozoficznego fakultetu. Szkoda jednak, że wszyscy akademicy nie mogą korzystać z tego dobrodziejstwa.

Paryż 1 sierpnia.

(W. Z.) Od dwóch dni obowiązuje nowa ustawa przeciw anarchistom. Skutki jej są już widoczne w tem, że wszystkie artykuły dziennikarskie są tak oględnie pisane, jak tego jeszcze może nigdy we Francyi nie było. Nie ma jednak czemu się dziwić; nowa ustawa bowiem jest tak elastyczna, że można ją właściwie przeciw każdemu zastosować, a osobliwie dzienniki niemiłe rządowi muszą się mieć bardzo na baczności. Pewien humorysta tutejszy, piszący pod pseudonimem Abé, w dowcipnym felietonie prorokuje, że niebawem wszyscy dziennikarze paryscy zostaną uznani za anarchistów i wywiezieni w głąb Afryki. Szydząc niemiłosiernie z rządu i z nowej ustawy, nie szczędzi także reprezentantom prasy pocisków satyry. Humoreska ta, zaopatrzona w piękne ilustracye, przedstawiające skarykaturowane portrety najwybitniejszych redaktorów tutejszych, rozchwytywana jest przez publiczność, gdyż — jak rzekłem — jestto rzecz bardzo dowcipna i wesoła.

Obrazek na pierwszej stronicy przedstawia grupę więźniów, pomiędzy którymi znajduje się jedna kobieta. Każdy z więźniów ma ręce skute na plecach kajdanami. Policyanci z ogromnymi rewolwerami pędzą tę grupę do portu, gdzie oczekuje parowiec „Deportacya". Między skutymi więźniami widzimy: Magnarda, redaktora *Figara*, Artura Meyera z *Gaulois*, Marinoniego redaktora *Petit Journal'u*, Hebrarda z *Tempsa*, Ranc'a z *Paris*, Fernanda Xau z *Journal'u*, Magnier'a z *Evénement*, Hervé'go z *Soleil'u*, Cassagnac'a, Sarcey'a, Augusta Vacquerie, redaktora *Rappel'u*, a kobietą ową jest znana tutejsza publicystka pani Severine.

Skazanych na mocy nowej ustawy jako niebezpiecznych dla państwa, dziennikarzy przewozi parowiec „Deportacya" na odludne wybrzeże Afryki, gdzie też rozgrywa się drugi rozdział humoreski. Wysadzeni na ląd dziennikarze odbywają posiedzenie. Ranc stawia wniosek, aby zredagować protest przeciwko bezprawnemu wywiezieniu ich z ojczyzny; Artur Meyer w pompatycznej mowie wyraża zadowolnienie swe z tego, że widzi zebrane wszystkie stronnictwa i proponuje urządzić festyn na dochód podupadłych dziennikarzy; pani Severine stawia wniosek, aby całe grono żyło w stanie natury, jak nasi praojcowie, z polowania i rybołówstwa; Hebrard zaś proponuje zapuścić się w głąb kraju. Wniosek Hebrarda przyjęto jednogłośnie. Idzie więc cała grupa skazańców nieznanemi polami, żywo dyskutując. Sarcey zbiera po drodze kwiatki, które, jako gorliwy wegetaryanin, od czasu do czasu spożywa; Marinoni wyrwał się o kilkaset kroków naprzód, aby nikomu nie dać się wyprzedzić w zbieraniu informacyi. Naraz spotykają oddział krajowców, dzikich murzynów z bambusowemi włóczniami.

Zajęli oni groźne stanowisko w obec nieznanych przybyszów, ale wnet udało się ich ułagodzić. Vacquerie deklamuje im ustępy z Wiktora Hugo, Sarcey ma wykład z dziedziny estetyki a Magnard przemawia do nich w imieniu rozsądku. Wnet pokochali murzyni przybyszów i całkiem oddali się im w opiekę, którzy, wywdzięczając się za to, zorganizowali im ich państwo na wzór europejski: Ranc zorganizował im policyę, Magnier finanse, Xau prasę, Magnard politykę, pani Severine dobroczynność, Hervé akademię, Marinoni sport atletyczny, a Sarcey konkursy konserwatoryum. Utworzono parlament, senat, wybrano prezydenta rzeczypospolitej i proklamowano nieograniczoną swobodę prasy. Dzienniki *Figaro*, *Gaulois*, *Paris*, *Rappel*, *Temps* i wszystkie inne organa paryskie wychodzą pod skwarnem niebem Afryki, a Marinoni z prętów trzciny bambusowej skonstruował dla swego *Pitit Journalu* wyborną maszynę rotacyjną. Nie długo jednak wiodło się tak dobrze wypędzonym dziennikarzom paryskim. Parlament murzyński, widząc, że anarchizm zapuszcza coraz głębsze korzenie, wydał nową ustawę, ograniczającą znacznie swobodę prasy, i na mocy tej ustawy oddał pod sąd przybyłych dziennikarzy. Uznano ich jako niebezpiecznych dla państwa i skazano na wygnanie. Skuci kajdanami pod eskortą policyi murzyńskiej musieli panowie dziennikarze porzucić granice państwa, które ucywilizowali. *New York Herald*, dowiedziawszy się o tem, wysyła za nimi sprawozdawcę, aby dowiedział się o ich losie. Długie lata jednak błąkał się ów sprawozdawca, nie mogąc ich znaleść, wszędzie bowiem, gdzie przyszli, wnieśli pochodnię cywilizacyi, tworzyli parlamenty, senaty i prezydentów republik, wszędzie jednak w końcu wypędzano ich. I tak tułając się przez lat kilkanaście oparli się dziennikarze nareszcie w pewnej mieścinie francuskiej, gdzie ludność nie zwracała wcale żadnej uwagi na nich. We Francyi bowiem zaszła w tym czasie radykalna zmiana, anarchistów nie ma już ani śladu, wszystkie ustawy wyjątkowe pozniesiono. W tryumfie wracają więc wygnańcy do Paryża, wydają na nowo swe dzienniki i mają dwa razy tyle prenumeratorów. W Afryce tymczasem walka przeciw anarchistom wre na wszystkich punktach i biada dziennikarzowi europejskiemu, któryby chciał się tam pokazać.

We wczorajszym numerze *Intransingeant* na pierwszem miejscu, zamiast zwykłego artykułu Rochefort'a, mieścił się pod nagłówkiem: „Obéissance à la loi", szereg znaków mimicznych. Była to odpowiedź na domaganie się przez czytelników oceny nowo wydanego prawa. Roznosiciele sprzedawali jednocześnie książeczkę, zawierającą alfabet głuchoniemych, przy którego pomocy można było odczytać ten niezwykły artykuł.

Stowarzyszenie wagonów sypialnych zbudowało dla Casimir-Périera wagon, przechodzący wspaniałością wszystkie dotychczasowe. Użyty on będzie po raz pierwszy dnia 20-go września, gdy prezydent uda się do Chateaudun na przegląd wojsk po manewrach jesiennych. Wagon ten niezwykłej, bo aż 20-metrowej długości, tak jest urządzony, że się w nim nie odczuwa prawie wcale wstrząśnień. Na zewnątrz nie przedstawia on żadnych ozdób, ale wewnętrzne urządzenie odpowiada wszelkim wymaganiom wygody i komfortu. Składa się on z fumoir'u, salonu, pokoju sypialnego i przedziałów dla osób, towarzyszących prezydentowi. Sufity zdobne są malowidłami artystycznemi, okna szerokie na 1½ metra, a wysokie na metr dają obfite światło, meble w salonie kryte jedwabnym pluszem, koloru blado-liljowego; przedział przeznaczony na sypialnię, ma zbytkowe łóżko i umywalnię z pięknego marmuru włoskiego, z przyborem srebrnym. Wagon ten nadto posiada doskonałą wentylacyę, ulepszony system ogrzewania, oświetlenie elektryczne i trzy hamulce — każdy innego rodzaju.

Jazda na welocypedach zyskuje coraz szersze zastosowanie. Obecnie prefekt policyi miejskiej, Lépine, rozpatruje projekt, aby w miejscowościach, mało uczęszczanych, a zatem niebezpiecznych, zaprowadzić służbę policyjną na rowerach, aby mogła szybko zwiedzać całą powierzoną swej pieczy przestrzeń. Do tej kategoryi zaliczony będzie lasek Vincennes, gdzie już niebawem kursować będą policyanci-cykliści. Podobnie straż ogniowa zamierza zaprowadzić służbę na welocypedach pomiędzy posterunkami, a merostwa mają odtąd na posłańców swoich wybierać nie dobrych piechurów, lecz dobrych cyklistów.

Bolesny zawód spotkał wielbicieli literatury bezbożnej, dążącej do odjęcia religii wszelkiego wpływu na ludzkość. Jednym z chorążych tej literatury był zmarły niedawno członek akademii francuskiej, głośny poeta Leconte de Lisle. On to w utworach swoich propagował żarliwie pogardę chrześciaństwa, a osobliwie wieków średnich i wojen krzyżowych. Za to czcili go liberałowie francuscy jak półboga, gdyż poezye Leconte'a swą mistrzowską formą porywały młodych ludzi i krzewiły między nimi bezreligijność. Tymczasem pokazuje się, że ten zagorzały ateusz przy końcu życia nawrócił się do Boga, umarł

---

19)

OD JUTRA.

Powieść współczesna z papierów familijnych spisana przez *Maryana Gawalewicza*.

(Ciąg dalszy).

Wieczorami lub w nocy, nieraz i zimową porą, rozbierał się do naga i dokoła gazonu biegał, jak waryat, ażeby się ochłodzić i zahartować.

— To mi humory odciąga od głowy — tłumaczył się — wszystko do nóg spada i zaraz mi lepiej.

Podczas wielkich mrozów nie zaprzestawał swoich kąpieli zimnych w rzece i zanurzał się w przerębli, aby czerwony jak rak wyskakiwać potem na brzeg i mieć powód do rozgrzewania się przez cały dzień.

Piwnica w Dziadowej była też zaopatrzona obficie we wszystko, co służyć miało do gaszenia pragnienia i rozrywki; klucze od niej miał Mikołaj w schowaniu i sam, nawet po pijanemu, chodził z chłopakiem do lochu, aby wynosić butelki, przyczem wszelako zdarzało się, że często o własnych siłach nie mógł już powracać na górę i że go chłopak podpierać musiał z tyłu i windować po schodach, jak kłodę.

Wtedy zwykle tylko jedna myśl budziła się w jego zalanej pałce.

— Franek! — bełkotał, zatrzymując się co kilka stopni — powiedz prawdę, świsnąłeś co?

— Cobym miał świstać?

— Kiedy ja wiem, żeś zwędził butelkę... nie łżyj!

— Kiedy miałem zwędzić?... cóżto, jaśnie pan nie patrzał mi ciągiem na ręce?

— Coś z tego, żem patrzał?... aleś ty świsnął. Przyznaj się!... przyznaj się, to nie dostaniesz w kark.

Chłopak w poplamionym i połatanym kubraku lokajskim, z miną wiejskiego łobuza na wysługach we dworze, udawał urażonego takiem niesłusznem podejrzeniem i odgrażał się, że nigdy więcej do piwnicy nie zejdzie.

— Jaśnie pan człowieka tylko na honorze krzywdzi takiem posądzaniem. Kiedybym wziął, tobym się przyznał; za co miałbym kłamać?

— Przysięgnij się.

— Czemu nie?... mogę.

— No, to się przysięgnij.

— Żebym tak szczęśliwie na górę doszedł, że nie mam nijakiej butelki, oprócz tych w koszu. Teraz jaśnie pan daje wiarę?

— No, pamiętaj... bo jak cię kiedy złapię, to...

Zamierzał się, żeby go poczęstować kułakiem à conto tej pogróżki, ale chłopak zręcznie się usuwał na bok i jaśnie pan robił szeroką dziurę w powietrzu swoją pięścią.

Przysięga, dosłownie mówiąc, była szczerą, bo Franek szczęśliwie dochodził na górę z pełnym koszem, który zanosił do pokoju młodszego dziedzica, ale po chwili wracał i z ciemnego kąta pod schodami wyciągał jedną, a czasem dwie butelczyny, schowane tam, kiedy jaśnie pan próbował, czy się wino ustało, albo nalewka dojrzała.

Za jego plecami chłopak eskamotował z wyrobioną zręcznością, co mu pod rękę wpadło, aby ukradkiem w stajni ciągnąć z fornalami pańskie specyały i raczyć się po kątach za zdrowie dziedziców.

Nie było dnia, żeby jeden z dwóch braci lub obaj nie wyjeżdżali do miasteczka za interesami; powracali najczęściej w towarzystwie, w doskonałych humorach. Zastawiano stolik do kart i przy sutych libacyach nieraz do rana trwały zabawy, przy których jedyną kobietą bywała panna Domicela, smagła brunetka, pełniąca w domu obowiązki gospodyni i totumfackiej.

Na jej głowie spoczywało wszystko, w jej rękach zaufanych były rządy, od niej zależała służba, do niej zgłaszali się wszyscy interesanci: od pachciarza począwszy, aż do kupców zbożowych i wszystkich, mających jakiekolwiek stosunki z dworem w Dziadowej.

Panna Domicela miała lat około trzydziestu, oczy „szelmowskie", jak się wyrażał starszy Chocholewicz, u którego była w szczególniejszych łaskach; nos zadarty i nozdrza wydęte, a usta grube, czerwone, mięsiste, jak u murzynki.

Ubierała się z pewną pretensyonalnością, nosiła bujną grzywkę nad czołem, wplatała kolorowe wstążki we włosy, nosiła jaskrawe szaliki na szyi w bufiasty fontaź wiązane, bluzki bez gorsetu i pantofelki, w których niewiele mogła chodzić po gospodarstwie; ograniczała się też przeważnie do dworskiego terytoryum.

Fartuszki szlarkami obszywane i pęk kluczyków u pasa, znamionował jedyne jej gospodarskie zajęcie i stanowisko, które zajmowała w kawalerskim domu obu dziedziców.

Paweł Chocholewicz przy obecnych i przy służbie nazywał ją panną Domicellą i traktował dosyć ceremonialnie, ale przy bracie lub sam na sam, mówił do niej krótko: Domciu i obchodził się z nią dość poufale, szczególniej, gdy nie był trzeźwy:

Nieraz gdy się zapomniał, wyrywało mu się nawet przy gościach:

— Domka, mogłabyś się raz z tą kolacyą wyguzdrać!... Kręcisz się, szwędasz, a jeść nie dajesz.

Wtedy panna Domicella obrzucała dziedzica wyniosłem spojrzeniem, zmrużała oczy, stawała we drzwiach i z przesadną godnością przywracała go do porządku:

— Jak pan powiedział?... proszę się tylko nie zapominać; tu nie ma żadnej Domki, chyba w stajni przy krowach. Także!...

I odchodziła oburzona, aby się nie pokazać więcej w pokoju; musiał wstawać od partyi, iść za nią, przepraszać i namawiać zadąsaną do obejmowania znowu swojej roli, przyrzekając, iż będzie bardziej pilnował języka.

Mikołaj darł z nią koty nieustannie, prowadził otwartą wojnę, bo mu raz od pijaków nawymyślała.

Całymi tygodniami niekiedy nie rozmawiali z sobą.

Omal do ciężkiej zwady nie przyszło z jej powodu między braćmi.

— Ty jej powiedz, żeby się do mnie nie odzywała. Kusz!... milczeć!... bo co ja, to nie ty, a co ty, to nie ja! — krzyczał młodszy. — Na trzy kroki dystansu odemnie, wara!... Sługa, to sługa i basta.

— To nie sługa.

— A co?... może pani?

— Co jest, to jest, ale nie sługa. Nie masz prawa wykrzykiwać nad nią, ona nic cię nie obchodzi.

— Marmuzela!... nic mnie nie obchodzi, ale i do mnie niech się nie wtrąca. Ja tu pan taki dobry, jak i ty.

— Proszę cię, stul papę!...

— I ty także.

Pokłócili się i potłukli kilka talerzy przy obiedzie.

Nie rozmawiali potem ze sobą przez tydzień i nie widywali się nawet, bo Mikołaj wyjechał do miasteczka i w oberży zamieszkał, zarzekając się, że dopóki ta „marmuzela Domicella" w Dziadowej siedzieć będzie, nie powróci; co mu kto zrobi?

— Ja im pokażę!... ja im pokażę, kto na swojem postawi! — wołał — on pan, to i ja pan!... Niech mi on z państwem swojem nie wyjeżdża, bo...

Zgrzytał zębami, pięście obie zaciskał i jedno oko mrużył złowrogo, jakby na cel brał.

Rozbijał się, fundował znajomym i nieznajomym, kogo spotkał; wytłukł jakiegoś żyda po pijanemu na ulicy, za co mu 25 rubli potem rzucił odszkodowania i wódki w niego wlał trzy kieliszki.

— Znaj pana parchu jakiś! — krzyczał w restauracyi — biję i płacę. Czy mi to nie wolno, skoro to moja fantazya? Pij jeszcze i wynoś się!.... marsz!... won!... bo oberwiesz jeszcze co.

Awantury wyprawiał takie pod koniec, że trzeba go było spojonego wsadzić do bryczki i odwieźć przemocą do domu.

Sam Paweł przyjechał po niego, aby go zabrać.

Po pijanemu Mikołaj nie poznał brata i mówił mu:

— Panie dobrodzieju, pan dobrodziej zacny obywatel, ja panu powiem... pan nie ma brata pewnie takiego, jak ja?... ja panu dobrodziejowi na osobności opowiem wszystko, w zaufaniu...

(Ciąg dalszy nastąpi).

prawdziwie po chrześciańsku, wyspowiadawszy się i przyjąwszy ostatnie Sakramenta i rozporządził, ażeby pogrzeb jego odbył się z całym ceremoniałem religii katolickiej. O tem oczywiście zamilczały dzienniki liberalne, a że pogrzeb odbył się w małej mieścinie San Malo, przeto nikt o tem nie wiedział, że pogrzeb głośnego poety odbył się przy dźwięku dzwonów i śpiewów kościelnych i że na mogile jego zatknięto krzyż, to wszystkim przez dziesiątki lat liberałów gotów zbawienia. Tymczasem jeden z przyjaciół poety, który stykał się z nim bardzo blisko w ostatnich latach jego życia, ogłosił to obecnie, a nadto niezbitymi dokumentami rozwiał legendę, jakoby Leconte de Lisle już od lat dziecięcych odwrócił się bez Boga i wychowany był w zasadach ateuszowskich. Przeciwnie, Leconte de Lisle w młodym wieku był bardzo religijny, a na dowód przytacza ów przyjaciel artykuł, napisany przezeń w roku 1840, i ogłoszony przed dziewięciu laty przezeń dwudziestoletniego *La variété*. Artykuł ten poświęcony był pamięci poety André Chenier, straconego na gilotynie podczas rewolucyi. Oto jak Leconte de Lisle pisał przed laty pięćdziesięciu o tym poecie: „Szczytne marzenia spirytualizmu chrześciańskiego, ta wspaniała jutrzenka rozumu ludzkiego, nigdy nie była znana poecie. André Chenier był poganinem wspomnieniami swemi, myślami, natchnieniem, jednakże był on odrodzicielem i królem formy liryeznej. Wszelako na chwałę naszej Francyi, przyszedł po nim inny umysł potężny. Tym słodkim i religijnym geniuszem, tym poetą uczonym Chrystusa, wielkim zarówno uczuciem, jak i formą, był Lamartine". Na wzmiankę zasługuje, że tego rocznika, w którym znajduje się ów artykuł, w całej Francyi na wagę złota dziś dostać nie można. Także nie można dostać poematu Leconte de Lisle'a poświęconego przez poetę jego matce, a pochodzącego również z jego młodych lat. Poemat ten nosi tytuł „Męka pańska" i jest również na wskroś religijny. Niereligijność Leconte de Lisle'a zaczyna się dopiero około roku 1850. W ostatnich latach życia zaszła jednak w poecie widoczna zmiana: stał się małomowny, zamknięty w sobie i lubił samotność. Nie żartował już nigdy z religii, jak to dawniej robił, ale też niczem także nie dał do poznania, że wyrzeka się dawnych błędów. Raz tylko, gdy zawakował fotel w akademii, Zola, jak zwykle, stawiał swą kandydaturę, zapytany przez przyjaciół, czy będzie głosował na Zolę, odpowiedział Leconte de Lisle poważnie: „Nie. — Nigdy nie oddałbym głosu człowiekowi, który w tak niegodny sposób żartował z Chrystusa". Przyjaciele zdumionym wzrokiem popatrzyli wówczas na poetę, a on spuściwszy oczy, rzekł: „Nawet o pogańskiej religii trzeba wyrażać się z szacunkiem, — a cóż dopiero o chrześciańskiej". To rzekłszy, zwrócił rozmowę na inny temat.

Z wystawy.

(Rybołówstwo).

Turysta, jeżeli chce używać w pełni tego, co widzi, musi przedewszystkiem być w odpowiednim nastroju ciała i duszy, mieć to, co Niemcy nazywają „Stimmung". Otóż nastrój ten, chcąc zwiedzić dział rybacki, łatwo jest obecnie w sobie wywołać. Wystarcza na to, pójść w południe przez zalany słońcem plac wystawy, zwiedzić dokładnie rozpalony gmach, przebywszy przez cały dzień cały, a na koniec przyjrzeć się uważnie wystawie futer, koców i burek w pawilonie przemysłowym.

Wchodzimy. Ogarnia nas chłód przyjemny i zaczynamy się rozglądać wokoło siebie. Pierwszy pokój zapełniony jest przyrządami i narzędziami technicznemi, drugi stanowi właściwe aquarium. Jest to podziemie suto oświetlone, zajmujące korytarza. Sklepienie i ściana zrobione są ze sztucznie imitowanej skały, w drugiej ścianie zaszklone otwory pozwalają nam widzieć w tajniki życia rybiego. Pierwszy nam się prezentuje lin powolny. Widocznie nie w smak mu pobyt we Lwowie, bo leży na dnie z miną znudzoną i otwartym pyskiem, jakby ziewał. Nie wiele raźniejszy jest sąsiad jego okoń, a szczupaków wcale nie widać, bo schowały się one aż w głąb swego rezerwoaru, a woda, niestety, taka mętna, że ich dostrzedz nie można. Za to pływają sobie wesoło na pastwę im wpuszczone małe rybki. widać cieszą się życiem, goni jedna druga, figlują — niebaczne, bo na dnie leży już jedna z odgryzioną głową. Mijamy karasia i węgorza i zatrzymujemy się przed oddziałem raków. Woda mętna, nic rozpoznać nie można, ale w głębi coś się rusza. Ruchy gwałtowne, jednostajne, a rak jakiś ogromny — może homar. Nareszcie woda się cokolwiek klaruje i spostrzegamy, że mniemanym homarem jest — szczotka na długim kiju, którą niewidzialna ręka czyści siedzibę raków.

Kiedy o rakach mowa, zajrzyjmy do okólnika Towarzystwa rybackiego, którego piękna czerwona oprawa w tym wypadku jest symboliczną. Dowiadujemy się tam, że Galicya, a szczególniej wschodnia jej część, jest prawdziwem eldoradem dla raków. Naprzykład w stawie Brzeżańskim dochodzi rozwartość ich nożyc do 45 centymetrów.

Niktby nie pomyślał, jak ważną w świecie wodnym gra rolę pijawka. Towarzystwo rybackie wyraża się o niej w swoich publikacyach z prawdziwem uszanowaniem. Urocze to stworzonko zamieszkuje całe Austro-Węgry i eksportowanem bywa corocznie w liczbie dziesięciu milionów. Sposób ich żywienia bardzo łatwy. Bierze się żywego konia, prowadzi się go do wody, tam go obsiadają pijawki i obiad dla nich gotów. Autor zaręcza, że dla konia jest to bardzo „zdrowem" — szkoda, że nie dodał „i przyjemnem".

Pijawczarnie są już w Galicyi, ale podobno liczba ich dotąd za mało i zysk byłby wielki z założenia nowych. Sam tytuł „właściciela pijawczarni", którym można swą kartę wizytową ozdobić, powinien do tego przedsiębiorstwa nęcić.

Za to widać, że hodowla ryb ogromne w kraju uczyniła postępy. Mapa pogładowa, ułożona staraniem Towarzystwa rybackiego, pokazuje nam, że gospodarstwa rybne rozłożone są przeważnie w trzech grupach. Jedna koło Oświęcimia, druga na przestrzeni Zator-Gródek-Chodorów, trzecia wzdłuż granicy od Brodów do Podwołoczysk. Podobnie dzielą się także wody bieżące. Zachodnia Galicya aż do Sanu z jego dopływami należy do dorzecza Wisły, wschodnia w większej swej części do Dniestru.

Dział wód ciągnie się w poprzek przez Galicyę od granicy węgierskiej, w miejscu, gdzie ją przecina gościniec, prowadzący z Turki na Chyrów, Gródek i Narol do granicy Królestwa. Dział ten złożony jest z pagórków wysokich lub niskich, ale nigdzie nie przerywanych i stanowi zarazem granicę klimatyczną wschodniej Galicyi z zachodnią. Znamy właściciela pewnej wioski, położonej na samym dziale. Mówi on, że gdy wyleje szklankę wody przez jedno okno, idzie ona do morza Bałtyckiego, przez drugie — do Czarnego.

Najznakomitsze gospodarstwa rybne są w Zatorze u hr. Augusta Potockiego i w Tomicach u bar. Gostkowskiego. Pstrągarnie widzimy w Krzeszowicach i w Poroninie pod Zakopanem. Zakład krzeszowicki przedstawił całą genezę rozwoju pstrąga, od pastylika ikry zapłodnionej 2 listopada 1893 r. Przez półtora miesiąca nie znać jakoś wrażenia na ikrze, gdyż nie zmienia się ona wcale. Dopiero w okazach z końca grudnia dostrzegamy na każdem jajku po dwa punkty czarne. To oczy rodzącego się pstrąga. Patrzy niemi na świat Boży, obserwuje, ale widocznie boi się jeszcze życia i zmiennych jego losów, bo cały miesiąc jeszcze trzyma się w swej skorupie. Nareszcie w drugiej połowie lutego nabrał odwagi, otworzył skorupę i wylazł z niej, niezgrabny jeszcze i ociężały, ale już samodzielny i wolny. Od tej pory edukacya pstrąga postępuje szybko. Co dzień widzimy go bardziej wyrobionym, aż wreszcie w początku kwietnia nabiera kształtu skończonej ryby. Pstrągi hodowane są i na równinie, ale właściwą im ojczyzną są tatrzańskie jeziora, gdzie w szmaragdowej toni Morskiego Oka lub w przejrzystych nurtach Czarnego Stawu dochodzą do olbrzymich rozmiarów. W Poroninie powstały przedsiębiorstwa i wylęgarnie pstrągów, z których największą jest wymieniony już zakład w Poroninie p. Gutta. Model wystawiony przez p. Gutta pokazuje, że zakład ten wychowuje około pół miliona pstrągów. W skromniejszych ramach obraca się działalność p. Gwirdwoyna, którego wylęgarnia produkuje tylko sto tysięcy wychowanków rocznie.

To też ryby wzrosłe w takich wygodach i w takim dostatku, wielce się różnią od swych koleżanek ze zwykłych, dzikich stawów. Pierwsze wyglądają delikatnie, elegancko, rzekłbyś patrycyuszki; drugie, mniejsze od nich i chude, snać nie były nigdy otoczone staranną opieką ręki ludzkiej. Opieka ta jednakże i zajęcie się losem ryb, potrafi u człowieka często inną przybrać postać, czego dowodzi przytwierdzony do ściany zbiór muszek, robaczków i haczyków do wędek. Tutaj już złośliwość ludzka widoczna. Z wyrafinowaniem bowiem i przebiegłością wystudyowano gusta rybie, nadano sztucznym muszkom i owadom przyczepionym do wędki formy najponętniejsze, kolory żywe, które w wodzie pływając na słonecznej mieliźnie, mienią się i błyszczą tak, że biedna ryba, choćby najostrożniejsza i najbardziej nad sobą panująca, powstrzymać się nie może i połyka iskrzącego owada. I w tej chwili następuje kara za chwilę łakomstwa. W muszce ukryty jest haczyk, niewinny na pozór, ale ostry jak igła, przebija on gardło ryby i — *finita la comedia*. Tak, jak dla każdego gatunku inne są muszki, tak samo i haczyki różnej są wielkości. Jedne małe a ostre, drugie ciężkie i większe, trzecie wreszcie, postrach rodzaju rybiego, o czterech końcach, jak kotwica okrętu, wpijają się w gardło biednego łososia i szczupaka. Te ostatnie, jako najżarłoczniejsze, najłatwiej łapią się na wędkę, ale i łososia zdarza się w ten sposób złowić. Oczywiście, gdy sztuka jest zbyt duża, urywa sznurek od wędki i wędruje z nim pod wodę. Sieciami za to łowią się nieraz w naszych wodach ogromne sztuki. U hr. Stanisława Drohojowskiego w Czorsztynie złowiono w lecie 1892 r. na głębokim odmęcie Dunajca łososia, ważącego 32 funtów. Potwory takie zdarzają się w galicyjskich wodach nieraz. Słyszeliśmy o innym łososiu, ważącym 40 funtów. Inne ryby dochodzą do jeszcze większej wagi. Tak np. pod Zaleszczykami łowią w Dniestrze sumy ważące po sto funtów.

Na wystawie rybołówstwa nie brak i jego wrogów. Na wstępie witają nas dwie wypchane wydry. Nie uwierzy nikt, jakie szkody potrafi to drobne zwierzę wyrządzić; ale zważywszy że wydra złapie sobie codzień dajmy na to jednego karpia, to przyznać trzeba, że na końcu roku staje się budżet tych szkodników dla gospodarstwa rybnego bardzo uciążliwym. Oprócz wydr wyrządzają także wiele szkody ptaki wodne, mianowicie czaple i bociany, które jednakże z innych względów są pożyteczne, niszczą bowiem żaby i węże.

Ogólne wrażenie, które odnosimy z wystawy rybackiej jest, że od lat kilkunastu zdziałano u nas pod tym względem bardzo wiele, że choć nie dorównywamy jeszcze innym krajom, np. Francyi, to jednak wystarczy rzucić okiem wstecz, by się przekonać o postępach Galicyi na tem polu. Gdy się zważy, że ś. p. dr. Radziwoński założył w roku 1855 pierwszą u nas pstrągarnię, gdy się porówna dawniejsze sprawozdania Towarzystwa rybackiego z ostatniemi mapami i atlasami, sporządzonemi staraniem zasłużonego dra Nowickiego, to możemy mieć słuszną nadzieję, że za lat znowu kilkanaście rybactwo będzie już jednem z poważniejszych źródeł krajowego dobrobytu.

* * *

(Ministrowie węgierscy we Lwowie).

Wczoraj po południu o godzinie 2ej min. 38 przybyli do Lwowa dwaj ministrowie węgierscy: prezes gabinetu Wekerle i minister oświaty Lukacs, oraz minister kroacki p. Jossipowicz. Z nim przybyli: radzcy ministeryalni Popovicz i Kreusenstein, redaktor *Nemzeta* i poseł do sejmu węgierskiego Gajary, koncepista ministeryalny Geller, reprezentant węgierskiego biura korespondencyjnego Kerekes, redaktorzy: *Bud. Corresp.* Futtaky, *Magyar Orszag'u* Mandowsky, *Budap. Hirlap'u* Berenyi, *Magyar Hirlap'u* E. Brody, syn ministra Wekerlego, hr. Lonyay i kilku jeszcze panów.

Na wyraźne życzenie ministrów, nie było na dworcu żadnego oficyalnego przyjęcia. Na dworcu oczekiwali gości: dyrektor Marchwicki, komisarz węgierskiego działu na wystawie p. Kovacs, grono lwowskich dziennikarzy i korespondentów pism zagranicznych, wystawcy węgierscy przebywający we Lwowie i liczne tłumy publiczności. Gdy pociąg wjechał na peron i goście zaczęli wysiadać, publiczność zebrana na peronie wzniosła okrzyk „Eljen!"

Przybyłych powitał w kilku słowach dr. Marchwicki, odpowiedział serdecznie, również bardzo krótko p. Wekerle, poczem wszyscy przez poczekalnię Iej klasy udali się przed dworzec i wsiedli tam do przygotowanych fiakrów. Goście udali się do hotelu „Imperial", gdzie przygotowano dla nich mieszkania.

Po krótkim wypoczynku udali się ministrowie do miasta w celu oddania wizyt i zostawili swe karty u p. Namiestnika, u ks. Sapiehy, u ks. marszałka Sanguszki, u p. Chamca, u wiceprezesów wystawy hr. St. Badeniego i p. Gorayskiego i u dra Marchwickiego. O godzinie 5 przybyli na wystawę, gdzie ich powitał St. hr. Badeni w towarzystwie pp. Gorayskiego, Mikolasza i Zielińskiego. Po wymianie kilku słów powitania, udali się goście do pawilonu przemysłowego i zwiedzili go szczegółowo. Z wielkiem uznaniem wyrażali się o naszym przemyśle, szczególniej o okazach naszego przemysłu domowego, podobały im się bardzo nasze kilimki i wyroby koszykarskie, meble i parkiety i zwracały ich uwagę wyroby z ametystu i selamitu, wykonane przez Sybiraków. Z pawilonu przemysłowego udali się do panoramy, która się im nadzwyczaj podobała i wywołała mnóstwo pochwał. P. Wekerle oświadczył dyr. Zgórskiemu, że chociaż wiele pochwał słyszał o panoramie, nigdy nie wyobrażał sobie, iż jest ona tak piękną i czarującą. To co zobaczył, przeszło najśmielsze jego oczekiwania.

Z panoramy zaprowadzono gości na terasę przed pałacem sztuki, skąd na Lwów prześliczny roztacza się widok. Podziwiali tę piękną panoramę i oddawali pochwały piękności parku stryjskiego.

Następnie zwiedzali pałac sztuki, po którym ich oprowadzali pp. Łoziński i Antoniewicz. O wystawie sztuki wyrażali się z największymi pochwałami i podziwiali jej bogactwo. Następnie zwiedzili jeszcze pawilon architektury i hr. Andrzeja Potockiego, poczem udali się na obiad do restauracyi Gerarda. Na obiedzie był także p. Namiestnik, który o godzinie 6 umyślnie przybył do Lwowa z Buska i serdecznie powitał węgierskich gości.

Po obiedzie odbyli goście przechadzkę po całej wystawie, a następnie przypatrywali się świetlnej fontanie, która wczoraj była prześliczną i przepyszną grą barw czarowała oczy widzów. Przyjrzawszy się fontanie, ministrowie odjechali do swych mieszkań, aby spocząć po uciążliwej podróży, dziennikarze węgierscy zaś udali się do teatru, gdzie byli na jednym akcie z „Trawiaty", a następnie byli w Kole literacko-artystycznym.

Dziś rano goście węgierscy zwiedzali miasto. O godzinie 9 wyjechali z hotelu Imperial przystrojonego w chorągwie o barwach narodowych polskich i węgierskich. Wychodzących z hotelu ministrów powitała licznie zebrana przed hotelem publiczność okrzykami: „Elien". W programie była przejażdżka po mieście, której przewodniczył dyr. Marchwicki. Pojechano tedy koło gmachu sejmowego, dalej prawą stroną ogrodu jezuickiego, koło cerkwi św. Jura i politechniki, stąd na dół ulicą Kraszewskiego, przed gmach sejmowy, ulicą Trzeciego Maja, Jagiellońską i Karola Ludwika, przed bazar krajowy. Ministrowie weszli do bazaru i oglądali szczegółowo wszystkie w nim pomieszczone wyroby i oddawali im wielkie pochwały. Minister handlu p. Lukacs zakupił kilka rzeczy, a mianowicie cały ubior krakowski dla 3-letniego chłopca i góralski, (z okolic N. Sącza) dla dziewczynki, dwie krakuski z pawiemi piórami i dwie pary dziecinnych góralskich krypci. Z Bazaru udano się do muzeum Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego. Goście obejrzeli dokładnie całe muzeum, wyrażając się w słowach jak najpochlebniejszych o zbiorach, oraz zaznaczyli podziwienie, iż bogaty zbiór, jakich niewiele znajdzie się w całej Europie, zawdzięcza swe powstanie i istnienie niezmordowanej pracy jednego człowieka. Przed opuszczeniem muzeum ministrowie Wekerle i Lukacs zapisali swe nazwiska w księgę pamiątkową muzeum po węgiersku, zaś minister Jossipowicz po chorwacku. Następnie udali się goście na Wysoki Zamek, poczem pojechali na wystawę. Po drodze złożyli bilety wizytowe u komenderującego ks. Windischgraetza i prezydenta miasta p. Mochnackiego. Na wystawę przybyli o godzinie ½11ej i rozpoczęli zwiedzanie wystawy od mauzoleum Matejki, następnie zwiedzili pawilon Wydziału krajowego, po którym oprowadzał ich p. Romanowicz.

Szczególną uwagę zwrócili goście na koronki zakopańskie, które dokładnością wykonania i pięknemi deseniami przewyższają nawet słynne koronki belgijskie.

W południe dyrektor wystawy p. Marchwicki dał w hali muzycznej śniadanie na cześć gości węgierskich. Do stołu zasiadło około 40 osób, ministrowie, dyrekcya Wystawy i dziennikarze węgierscy i lwowscy.

Wśród wesołej pogadanki mile spędzono czas. Węgierscy dziennikarze są zachwyceni wystawą, pięknem położeniem Lwowa i gościnnością, z jaką ich u nas przyjęto.

* * *

Wczoraj pod przewodnictwem nauczycieli zwiedzała wystawę dziatwa przemyska; dziś rano powróciła do domu.

W Krościenku zawiązał się komitet w celu urządzenia wycieczki na wystawę. Przewodniczącym wybrano ks. Janickiego z Jedlicza. Komitet rozesłał zaproszenia do wójtów i członków Rady powiatowej, aby wzięli udział we wspólnej wycieczce, która proponowaną jest na dzień 18 sierpnia, a nadto komitet weźmie na wystawę 40 uczniów uzupełniającej szkoły przemysłowej i zapłaci za nich koszta podróży i utrzymania we Lwowie.

Wczoraj zwiedziło wystawę 5 655 osób, panoramę 1290, pałac sztuki 616, a mauzoleum Matejki 598 osób.

KRONIKA.

Lwów 8 sierpnia.

Ks. biskup Kuiłowski powrócił tymi dniami do Stanisławowa. Mimo ciężkiej choroby ks. biskup wygląda dobrze. W Stanisławowie zabawi aż do przybycia Cesarza, na którego powitanie wyjedzie do Lwowa, poczem uda się na dalszą kuracyę za granicę.

Mianowania. Maryan Muszyński i Maryan Soniewicki mianowani praktykantami rachunkowymi dyrekcyi poczt we Lwowie.

Zasiłki. Wydział krajowy udzielił jednorazowej subwencyi w kwocie 50 zł. towarzystwu ku wspieraniu ubogich i godnych wsparcia słuchaczy akademii rolniczej w Wiedniu.

Konkurs. Wydział krajowy rozpisał konkurs z terminem do 10 września na posadę profesora fachowego, ewentualnie na posadę nauczyciela adjunkta w krajowej szkole gospodarstwa leśnego we Lwowie. Płaca wynosi 1.300 zł., dodatek aktywalny 400 zł. i prawo do pięciu dodatków pięcioletnich po 200 zł.

V Zgromadzenie delegatów powiatowych kas dla chorych Galicyi i Bukowiny odbędzie się we Lwowie w sali obrad Zakładu ubezpieczania robotników od wypadków 2 września o godzinie 10-tej przedpołudniem z następującym porządkiem dziennym: 1. Odczytanie protokołu IV Zgromadzenia. 2. Sprawozdanie za rok 1893. 3. Oznaczenie wysokości wkładki związkowej na rok bieżący. 4. Sprawozdanie komisyi, wybranej przez IV Zgromadzenie delegatów. 5. Wnioski kas związkowych.

Towarzystwo śpiewackie „Echo" urządza w czasie od dnia 10—20 bm. wycieczkę artystyczną po zdrojowiskach krajowych. Czysty dochód przeznacza „Echo" na fundacyę im. Tadeusza Kościuszki. Wycieczka obejmuje Truskawiec, Żegiestów, Krynicę, Szczawnicę, Rabkę, Zakopane i inne miejscowości. Znana sumienność w wykonaniu utworów choralnych przez „Echo", daje najzupełniejszą rękojmię powodzenia koncertów.

Zjazd straży skarbowych. Dzisiaj odbyło się posiedzenie zjazdu w koszarach straży celnej na placu Cłowym. Wybrano na niej wydział Tow. wzajemnej pomocy. W skład jego weszli pp. starsi komisarze: Chomiński, Malinowski, Uszyński, respicyenci: Marmurowicz, Kossowski, nadstrażnicy: Błażek i Machek. Zastępcami wydziałowych wybrani pp. Zaręba, Zimmerman i Flosz.

Prezesem wybrany starszy komisarz Cholewiński, zastępcą prezesa Malinowski, skarbnikiem nadstrażnik Uszyński. Na tem obrady zjazdu zakończono.

Sylwetka Wekerlego. Możnaby się założyć, że u większości naszych czytelników, dowody niezwykłej ruchliwości i energii Wekerlego, z którymi się nieraz spotykali w wiadomościach politycznych, wreszcie samo brzmienie nazwiska jego o zdrobniałej końcówce, wyrobiły wyobrażenie, że premier węgierski to niewielki, ruchliwy i nerwowy człowieczek, jeden z tego typu mężów stanu, coraz częściej w ostatnich czasach się pojawiającego, u którego nawet w zewnętrznych cechach jest coś z teoretyka professora, coś z reformatora i agitatora społecznego. Otóż ktoś taki niemało byłby zdziwiony ujrzawszy wczoraj po południu p. Wekerlego, wkraczającego przez uprzejmie otwartą bramę na plac wystawy. Postać to barczysta, wyniosła, prawie olbrzymia i kiedy go otoczyło z powitaniem grono komitetowych wystawy, o czoło przewyższała nawet tak wysokich mężczyzn jak np. p. Kovacs, reprezentant węgierski. Wyprostowany niemal po wojskowemu, w opiętym czarnym surducie i lśniącym cylindrze szedł p. Wekerle główną drogą wystawy, swobodnie rozmawiając z otaczającymi go. Kroki stawiał odmierzone, zwolna, ale z naciskiem, jak gdyby za każdym powtarzał rozkazująco: „Ja tak chcę!"

Twarz Wekerlego wielka, starannie wygolona aż do maleńkich baczków koło uszu. Nos wystający, broda ostra, wygięta, a wąskie, zaciśnięte usta, nieocienione wąsem, stanowią dziwny kontrast z uprzejmym salonowym uśmiechem, który jakby przylgnął do twarzy i nie znika z niej nawet wtedy, gdy niewielkie oczy błysną żywym a badawczym blaskiem. Wszystko w nim znamionuje siłę i świadomość tej siły, a cała postać jest jakby nadzwyczaj ciekawą zagadką fizyognomiczną, ukrywającą pod chłodną maską obojętnego dyplomaty, gwałtowność, niemal namiętność w działaniu.

Uroczystość w Kochawinie. W dniach 29, 30, 31 bm. i 1 września odbędą się w Kochawinie w powiecie żydaczowskim, w miejscu oddawna cudami słynącem, uroczystości poświęcenia nowego kościoła i przeniesienia cudownego obrazu Najśw. Panny Maryi do nowej świątyni.

Program uroczystości jest następujący: Dnia 29 bm. po południu przybędzie do Kochawiny ks. biskup Puzyna i po wstępnem nabożeństwie udzielać będzie Sakramentu Bierzmowania. Nazajutrz, tj. dnia 30 bm. odprawi się konsekracya nowego kościoła. Dnia 31 bm. wizyta biskupia. Dnia 1 września, tj. w sobotę, przeniesienie cudownego obrazu Najśw.

---

123)

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

— Poznałam Setiego, wydało mi się, że jest takim bohaterem jak ci, o których mi prawiła i pragnęłam zostać jego żoną. Wiesz, jakem się na nim zawiodła. Odtąd uwierzyłam w to, co mi Elpinoe o Egipcyanach mówiła i nie chcę żyć w Egipcie; chcę wyjechać wraz z Elpinoą do wysp jej ojczystych i tam zostać żoną Achajskiego bohatera.

— Dziecińistwa roją się tobie, Hesz-Akero! Szczęściem, rodzice nigdy nie zezwolą na spełnienie tego zamiaru, a pozbędziesz się myśli dziecinnej, spowodowanej pierwszym zawodem, zanim będziesz mogła działać bez pozwolenia rodziców.

— Ja się rodziców o pozwolenie pytać nie myślę.

— Jakto?

— Ujadę z Elpinoą potajemnie.

— Jakież mówisz rzeczy niedorzeczne?

— Nie, to co ja mówię nie jest dziecińistwem! Wszystko już jest ułożone. Ten bohater, który był narzeczonym Elpinoi, wpierw zanim ją niegodziwi Chanaanici porwali i w niewolę zaprzedali, jest tu w Tebach, pośród straży Faraonowych. On jej dopomoże mnie uwieść na północ do ojczyzny Elpinoi, do kraju bohaterów.

Dziecinne wyznanie Hesz-Akery przejęło ksienię niewysłowioną trwogą o losy tej, która tak nagle zajęła w jej sercu miejsce własnego dziecka. Hatazu zawołała tedy:

— A czy ty wiesz nieszczęsna, co ciebie czeka, jeźli się dasz porwać tym Grekom? Dłużej żyję od ciebie i lepiej znam śmiertelnych ludzi. Dawno mnie nie dziwi żadna małość i żadna nikczemność u Egipcyan, ale u barbarzyńców północy dziwi mnie to, jeźli zobaczę co innego, jak zwierzęce okrucieństwo i zwierzęcą chytrość. Najbardziej ludzką rzeczą u nich jest mściwość, z jaką się pastwią nietylko nad tymi, którzy ich skrzywdzili, ale także nad tymi, którzy obrazili ich dziką pychę, świadcząc im dobrze, jeźli im świadczyli tylko tak, jak pan świadczy słudze. Patrzałam na ich czyny w czasie wojny domowej i widziałam, jak długo udawali przyjaźń na to, aby chwycić w swoje ręce upatrzoną ofiarę; a tą ofiarą mógł być każdy szlachetniejszy Egipcyanin. Wiedz o tem, o czem jestem tak pewną, jak o tem, że bogowie nieśmiertelni patrzą na nas! Ty jesteś tylko ofiarą upatrzoną przez Achajów. Sprzykrzyło im się życie na żołdzie Faraona i chcą wrócić do ojczyzny, łupiąc wszystko, co znajdą po drodze. Lękają się tylko wojsk Faraona, bo mają wściekłość dzikiego zwierza, a w obec ludzi ujętych w ład wojny, są tchórzami; a zatem chcą porwać zakładników, aby powstrzymać pościg Egipcyan obawą o ich los. Ty masz być taką zakładnicą. Jeśli jeden pułk egipski ruszy za Achajami, zamordują ciebie Grecy, pośród mąk najwymyślniejszych, na których samo wspomnienie wzdryga się całe ciało człowieka, a ta twoja przyjaciółka i towarzyszka będzie się śmiała z twojego powolnego konania, bo okrucieństwo jest główną rozkoszą barbarzyńców. A jeżeli cudem jakimś dojedziesz żywa na wyspy Grecyi, nie będziesz tam żoną bohatera, tylko niewolnicą, głodną, wystawioną na wszystkie boleści i wszystkie zniewagi. Utracisz nawet nadzieję tego, abyś po śmierci mogła przebywać wraz z Ozyrysem i z Izydą w raju wiecznego szczęścia, bo ci, w których ręce popadniesz, tak ci skalają i ciało i duszę, że twojem pośmiertnem mieszkaniem będzie owo miejsce męki nieustającej, z którego jedynem wyjściem jest unicestwienie.

Znowu głos i ruch ksieni nakazywał wiarę i Hesz-Aker uwierzyła jej. Struchlała cała i była jako trup. Długo musiała ją Hatazu pocieszać, zanim wróciła do słowa; a przyszedłszy do jakichś sił, wyznała ksieni wszystkie szczegóły ucieczki, ułożonej wraz z Elpinoą i Diomedontem.

ROZDZIAŁ XVIII.

W kancelaryi Wielkiego pisarza.

W biurze głównem i centralnem administracyjnych urzędów egipskich, do którego należało także załatwianie spraw politycznych, panował ład wzorowy i czynność nieustanna, pod kierunkiem Mautmura, Wielkiego pisarza królewskiego, to jest wedle terminologii nowożytnej, wielkiego kanclerza państwa. Olbrzymie mnóstwo urzędników, posiadających niższe stopnie kapłańskie, ulegało jego rozkazom. W samym Egipcie tylko nieliczne dobra książęce, zaopatrzone własną policyą, nie były pod jego bezpośrednim politycznym nadzorem. Reszta kraju była pod zarządem starostów powiatowych, zastępujących niejako króla w powiecie, a jednak posłusznych Wielkiemu pisarzowi, a każdy starosta miał znowu pod sobą osobny zastęp urzędników, niższych i wyższych, z których jedni utrzymywali policyę, a drudzy pilnowali, żeby różne autonomiczne korporacye legalnie funkcyonowały i nic niebezpiecznego dla państwa nie przedsięwzięły. Że Egipcyanie uważali cały świat za prowincyę Egiptu, a rozumieli prawnie, że państwa niepodległe były krajami zbuntowanymi przeciw Faraonowi, przeto drugi zastęp urzędników, stojący pod kierownictwem drugiego pocztu królewskich starostów, odbywał służbę dyplomatyczną, śledząc sposób zachowania się zhołdowanych królików i donosząc do bióra centralnego o tem, czy sumiennie przestrzegali traktatów, mocą których ulegali zwierzchnictwu Faraona. Samo bióro centralne w Tebach dzieliło się na kilka sekcyi, kierowanych przez radzców dworu Faraona. Istniały osobne sekcye dla administracyi i dla policyi górnego i dolnego Egiptu, osobne sekcye dla stosunków z afrykańskiemi i z azyatyckiemi prowincyami, tudzież dla stosunku z ludami jasnowłosymi Północy; istniała wreszcie najważniejsza tajna kancelarya, na której czele stał zestarzały w służbie urzędnik Psametych i w której przygotowywano dla Faraona i dla Wielkiej Rady referata w rzeczach najważniejszych, w rzeczach mogących wywrzeć wpływ na spokój wewnętrzny, albo na potęgę zewnętrzną Egiptu. Przez tę tajną kancelaryę kontrolował Wielki pisarz sprawy sądowe i finansowe, które nie ulegały jego bezpośredniej władzy i które stały pod kierunkiem osobnych ministrów, a nawet sprawy gospodarstwa krajowego, ministerstwa sztuk pięknych i umiejętności, wojskowości i ciała kapłańskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Panny Maryi do nowego kościoła, którejto ceremonii dopełni ks. arcybiskup Morawski w asystencyi licznych dostojników Kościoła. Spodziewani są prawie wszyscy książęta Kościoła wszystkich 3 obrządków.

Będzie to uroczystość niezwykła, zdarzająca się raz na setki lat, i zapewne zgromadzi liczne zastępy czcicieli Maryi i wiernych Kościoła.

† Karol Ochenkowski. Z Królestwa Polskiego, z gubernii siedleckiej, dochodzi nas późna wprawdzie, ale niemniej przeto żałobna wieść o zgonie ś. p. Karola Ochenkowskiego, właściciela dóbr Skrzeszewo, położonych w tej gubernii, który w końcu czerwca, po krótkich cierpieniach oddał Bogu ducha, osieroconą zgonem swoim niezmiernie kochającą go rodzinę, ale także zresztą współziomków, którzy mieli w nim wzór zacnego człowieka i prawego obywatela kraju. Żył on, według słów poety „bez rozgłosu“ — bo o to się nigdy nie ubiegał; niechże nie schodzi ze świata bez pożegnalnego wspomnienia, bo na nie całem swem zacnem i szlachetnem życiem zasłużył. Warszawskie *Słowo* poświęcając ś. p. Karolowi Ochenkowskiemu pełny współczucia nekrolog, w następujących słowach streszcza żywot zmarłego: „Był to gospodarz umiejętny, przodujący całej okolicy postępem, pracowitością i rządną przedsiębiorczością. Był on dalej długoletnim delegatem Towarzystwa kredytowego ziemskiego; był z wyboru sędzią gminnym, a na tym zaszczytnym urzędzie, był nietylko szafarzem sprawiedliwości dla włościan, ale istotnym ich doradcą, dbającym zarówno o ich potrzeby duchowe jak i materyalne. Niezmordowana praca, rozległe interesa, wychowanie dzieci, wypłata i ciężary, pochłaniały ten żywot pełen trudu i poświęcenia i tak wysokich o obowiązkach swego powołania pojęciach, że mogą one służyć za wzór i przykład“. Oto, w najzwięźlejszych słowach wiąże treść życia ś. p. Karola Ochenkowskiego. Żalem być dojrzały“ pożegnał go się do mogiły, niestety, nie będąc jeszcze — jak mówi Kochanowski „syt wieku i chwały“ — bo śmierć go zabrała w 55 roku życia, a pełni dalszych zadań obywatelskich. W tym jednak krótkim stosunkowo czasie, w tych ciężkich warunkach, w jakich żyć kazano tamtejszemu obywatelstwu, zrobił on dużo, bo zrobił tyle, ile wśród twardych okoliczności zrobić się dało. To co jest najtrudniejszem w życiu, a mianowicie spełnienie obowiązku, to wypełnił. To co jest największą nagrodą życia, to jest cześć i uznanie współczesnych — to zdobył. Niechże spoczywa w spokoju, bo zostawił po sobie najpiękniejsze dziedzictwo jakie człowiek i obywatel zostawić może, a to, poczciwe imię w spadku dla swoich dzieci i przykład obywatelskiej pracy dla swoich współziomków.

Poświęcenie pomnika. Dnia 25 lipca odbyło się w wiosce Bielinie, powiatu Samborskiego, poświęcenie pomnika ś. p. księdza Łukasza Turzańskiego, tamtejszego proboszcza, zmarłego 1 kwietnia 1881 roku. Po skończonej mszy nałożono na grób na cmentarz, gdzie tamtejszy ksiądz Julian Nehrebecki, wraz z ks. Janem Sieleckim z Niedźwiedzicy i ks. Mikołajem Bilińskim z Nabujowic, dokonał aktu poświęcenia pomnika, wystawionego kosztem familii ś. p. zmarłego księdza.

Z Chorośnicy nam piszą: Prawie wszędzie, gdzie jest kolejowy urząd telegraficzny, przyjmują także i depesze prywatne. U nas niestety, chociaż jest prywatne i urzędowe telegraficzne, nie ma tego korzystać nie może, gdyż według zdania urzędu stacya otwarta jest tylko dla depesz urzędowych, gdy więc potrzeba niezbędnie posłać jaką depeszę, musimy posyłać posłańcem milę drogi do Mościsk lub Sądowej Wiszni. Zwracamy się przeto z prośbą do władz, by przynajmniej w godzinach okólicy otworzył na stacyi w Chorośnicy stacyę telegraficzną dla depesz prywatnych, przynajmniej ze służbą dzienną.

Ze Stryja proszeni jesteśmy o zanotowanie następującego wypadku. Dnia 3 czerwca przed odejściem nocnego pociągu, powóz zajeżdżający przed gmach dworca ugodził tamtejszego kupca p. Lechickiego dyszlem w plecy. W łatwo zrozumiałem rozdrażnieniu p. Lechicki zwrócił się do stojącego obok i gapiącego się flegmatycznie na tę scenę policyanta i wyłajał go za to, że nie pilnuje, aby dorożki zajeżdżały przed dworzec w porządku. Policyant znalazł na usprawiedliwienie tego faktu jedynie wymówkę, że „to są przecież konie p. doktora T.“ Uznając powagę p. doktora T., poturbowany kupiec oddalił się i w parę dni zapomniał o tem zajściu. Pewnego razu jednak otrzymuje ze sądu zawiadomienie, iż władza miejska pociągnęła go do odpowiedzialności za ubliżenie policyantowi. Nic nie pomogły powoływania się p. Lechickiego na to, że 21 lat mieszka w Stryju i nigdy noga jego nie postała w sądzie. Musiał stanąć oko w oko z policyantem wobec sędziego. Ale sędzia, przesłuchawszy obie strony, nie znalazł w całem tem zajściu nic, coby mogło ubliżyć powadze policyanta i na tej podstawie uwolnił p. Lechickiego od winy.

Złapał złodzieja. Z Tarnopola nam piszą 7 bm.: Jeden z tutejszych handlarzy wody sodowej zauważył, że zazwyczaj gdy w sklepie jego był ścisk, ludzie dolewają sobie soku bezpłatnie do szklanek. Chcąc złapać ptaszka, zamiast soku malinowego zostawił butelkę z kwasem siarczanym i rzeczywiście dopiął celu, gdyż wczoraj Leizer Kurfürst 16-letni chłopak dolał sobie owego płynu, myśląc, że to sok malinowy i po kilkogodzinnych strasznych męczarniach życie zakończył. Żart ten odpokutuje zapewne ów handlarz, gdyż trucizna taka, jak kwas siarkowy, jakkolwiek potrzebna do wyrobu wody sodowej, winna być pod kluczem i to nie w sklepie, ale w fabryce. Sąd wdrożył już śledztwo w tej sprawie.

Morderstwo. Restaurator Jan Budik w Oberheinsendorfie na Morawie zamordował żonę swoją, nałożywszy pijaństwo. O opętańczym czynie powiadomił Budik brata swego i bratową. Gdy ci zjęci byli przy zwłokach zamordowanej, Budik celnym strzałem w głowę położył siebie trupem.

Casimir-Perier wśród swoich wyborców. Pierwszą podróż podjął obecny prezydent Francyi do swego rodzinnego zamku w Pont-sur-Seine, gdzie się wychował i z którego to okręgu wybrany został do parlamentu. Przed rannikiem czekała gromada chłopów z okolicy. Byli oni niezmiernie uszczęśliwieni i dumni z tego, że ich współobywatel i mieszkaniec tej okolicy osiągnął najwyższą godność w państwie, ale mimo to stosunek ich do niego pozostał równie poufały jak dawniej. Tak np. zapytał prezydent pewnego starego wieśniaka o zdrowie, a ten całkiem swobodnie odpowiedział: „Idzie jakoś powoli, panie pośle, żyje się. A pan?“ „Dziękuję — odparł prezydent — ja mam się równie dobrze.“ Dobrze należy, że zwyczajnie Periera, w tym okręgu nigdy dawnych czasów, kiedy to Perier, czyli jak go wieśniacy krajanie nazywają „monsieur Casimir“, jako kapitan rezerwy w departamencie Aube, po jej powołaniu, brał udział w wojnie francusko-niemieckiej. Pomiędzy podwładnymi jego ochotnikami znajdował się jeden z nich, który jako strzelec. Raz zapytał go Perier: „Gdzieżeście się nauczyli strzelać tak wybornie?“ „Na pańskich zające panie kapitanie“ odparł żołnierz, który w polowaniach Periera, znany był jako najzręczniejszy kłusownik, który jednakże od owej rozmowy stał się fanatycznym zwolennikiem Periera.

Żółty kaftan. Na tle wojny chińsko-japońskiej pojawiła się wiadomość, która w całych Chinach i w kołach dyplomatycznych wywołała wielkie zainteresowanie. Oto mianowicie miał cesarz chiński wicekrólowi Peczili, Li-Hung-Czangowi za to, że się nie przygotował do wojny z Japonią, odebrać „żółty kaftan“. Szczegół ten dla Europejczyka pod nazwą pierwsze „żółty kaftan,“ to najwyższe odznaczenie, niby order w Chinach, nadanie jego jest niezmiernie rzadkiem i nadzwyczaj rzadko go otrzymują. Na tym systemie, odebranie go to — jedną z największych kar. W pierwszych latach tego panowania, gdy wiele wyższych urzędników za bardzo źle był ukarany, to najpotężniejszy dygnitarz państwa niebieskiego. Odznaczenie przez nadanie żółtego kaftana odbywa się w ten sposób, że cesarz zdejmuje kaftan ze siebie i wkłada go na tego dygnitarza, który go ma otrzymać. Żółty kaftan jest najwyższą godnością i najwyższym dygnitarzem. Zdarza się to zaś, że ci co dostąpili tego zaszczytu, mają go ciągle. Tak np. markiz Tseng raz przywdziawszy go nie zdejmował już przez całe życie, a nawet pochowano się go w tym żółtym kaftanie, który z latami zczerniał, zeschł na nim i stwardniał jak kora. Chociaż odebranie żółtego kaftana nie jest jeszcze pozbawieniem godności, wątpliwem jest czy Li-Hung-Czang przyjmie bez szemrania ten objaw niełaski, a w ręku swoim ściągnąć tyle władzy i potęgi, obdarzony jest taką dozą sprytu, a przytem gieścią samienia, że bardzo łatwo, skoro zechce, może się obejść bez cesarza. Z drugiej zaś strony ten, który tak pięknie dwa lata temu obchodził swą siedemdziesiątą rocznicę urodzin, kiedy to ogłosił go dzierżawcą całych prowincyi, szczęśliwym oczekując barwę Chin, przyczem ma pod rozkazami 75 000 żołnierzy i potężną flotę, Li-Hung-Czang dzierży w swem ręku władzę pieczenia z czterech wielkich sekretarzy państwa, prezydentem rady wojennej, szefa handlu chińskiego na morzach północnych, jest pełnomocnikiem cesarza bez ograniczenia, a danie więcej będzie potęgą, a nie cesarz rządzi 350000000 ludzi. Przeciw niemu intrygowała rodzina cesarska, niezadowolniona z europejskich zwyczajów i nowości, wprowadzonych przez niego, jednak o wiadomości o owej niełasce można jeszcze powątpiewać. Zresztą Li-Hung-Czang w swej urzędowej karyerze nieraz bywał, jak się to mówi pod wozem, a przecież zawsze podnosił się i zgniótł wszystkich swoich nieprzyjaciół, nie przebierając przytem w środkach. Kiedy naprzykład po raz pierwszy popadł w niełaskę i powołano go do Pekingu przed sąd, który, jak ułożono, miał go skazać na śmierć, on nie odmówił przybycia, stawił się w stolicy — ale na czele oddanych mu ślepo 10000 żołnierzy i tak uratował swą głowę i godność.

Kościół pływający. Dziesiątki tysięcy żeglarzy angielskich, zajętych rybołówstwem przez rok cały i przebywających na morzu nie rzadko po kilka miesięcy, są pozbawieni możności słuchania słowa Bożego. Pragnąc zaspokoić duchowe potrzeby tych pracowników morza, misyonarze angielscy postanowili wybudować pływający kościół. Na wezwanie, uczynione z ich strony, niejaki p. W. ofiarował swój jacht „Goshawk“. W końcu ubiegłego miesiąca odbyło się poświęcenie kościoła, urządzonego na yachcie i pierwsze nabożeństwo, które odprawił duchowny, wybierający się na objazd stacyi morskich i statków przebywających na morzu. Podróż rozpoczęła się od zachodniego brzegu Anglii, w kierunku wschodnich brzegów do portu Grimsbi, gdzie duchownego zastąpi wikary misyonarskiego stowarzyszenia św. Andrzeja i puści się w dalszą drogę. Świątynia może pomieścić stu modlących się. Budowa jej na yachcie kosztowała 500 funt. szterl., a koszt utrzymania obliczono na 1 000 funt. szterl. rocznie.

Jubileusz publicystyki bułgarskiej. W lipcu br. ubiegło właśnie 50 lat od ukazania się pierwszego czasopisma w języku bułgarskim. Z tego powodu odbył się pierwszy zjazd literatów i dziennikarzy bułgarskich w Sofii, przy współudziale około 170 osób.

Nowe karabiny w Niemczech. Krążą w Berlinie pogłoski, niepotwierdzone dotąd, o nowych zmianach w umundurowaniu oficerów i o projekcie na szereg rozporządzeń w sferach decydujących, zaprowadzenia nowego systemu broni palnej. Szkoła strzelecka w Spandawie, do której odkomenderowanych jest mnóstwo podoficerów i żołnierzy, uzbrojona już jest w nowe karabiny, zaprowadzone w armii hiszpańskiej, posiadające wysokie zalety. Główną wadą karabinów niemieckich jest, że skrzynka, mieszcząca naboje, zama się otwiera po użyciu naboju i łatwo zanieczyszcza się piaskiem i t. p. skutkiem czego jej ponowne zamknięcie natrafia często na trudności, opóźniające nabijanie. Nowy system, zastosowany w karabinie hiszpańskich, od spodu jest zamknięty, ułatwia zatem nabijanie, a oprócz tego posiada tak znaczne inne zalety, że jego zaprowadzenie jest podobno tylko kwestyą czasu.

Produkcya dramatyczna jest w Niemczech tak znaczna, że na jeden sezon autorowie różnego kalibru dostarczają około 4 000 sztuk oryginalnych. Że jednak jakość nie odpowiada tam ilości, dość powiedzieć, iż z owej liczby wszystkie razem teatra niemieckie mogły wybrać w sezonie roku 1890/91 tylko 120.

Hojny zarząd kolejowy. Koleje amerykańskie nie żałują pieniędzy i zabiegów, aby przywabić publiczność. Ciekawa np. panuje pod tym względem zwyczaj w Ottawie, stolicy Kanady. Jeden z podróżników europejskich zauważył, że tam każdy konduktor ma kwiatek u klapy surduta. Zapytał więc, co to ma znaczyć i otrzymał odpowiedź, że publiczność w Ottawie nadzwyczaj lubi kwiaty, aby się zatem jej przypodobać, zarząd kolejowy wydaje konduktorom dwa razy dziennie, rano i wieczorem, świeże kwiaty, aby je nosili w klapy surduta i na publiczność miłe robili wrażenie.

Ofiary. Dla biednej Maryi Lewkowicz otrzymaliśmy: od p. J. Z. z Uhnowa 1 zł., od p. Z. V. z Poznania 1 zł., od p. J. K. ze Lwowa 2 zł., od p. Ignacy B. ze Lwowa 1 zł., p. Wł. M. 1 zł. Razem 6 zł. Poprzednio 15 zł. 50 ct. Ogółem wpłynęło zatem 21 zł. 50 ct.

Stan powietrza. T. o 7 rano + 18, w poł. + 24° R. Barom. 763. Spada. Pogoda.

Zguba. Pan Edward Hepps, radny m. Lwowa, zgubił z wiecz. kogut z najwyższych dygnitarzy. Zdarza się to zaś, w sklepie ... Wiecz. Znalazca zechce takowego oddać w mieszkaniu p. Heppsgo przy placu Wacława Dąbrowskiego l. 3 II p.

Człek ugrzeczniony. Gapski jest z natury niezmiernie gburowaty.
Ach — rzecze kiedyś przy spotkaniu się ze znajomym — czy szanowna pańska niedyspozycya już przeszła?...

Panorama racławicka na wystawie otwarta codziennie od godziny 8 rano do 8 wieczorem. Wstęp 50 ct.

Literatura i Sztuka.

Książeczka do modlitwy dla mężczyzn. Ułożył ks. J. Gnatowski. Lwów. Nakładem W. Kuczabińskiego. Książek do nabożeństwa mamy dosyć, są między niemi i bardzo dobre. Żadnej stoli, o ile wiemy, nie ma jeszcze tak umyślnie ułożonej i wyłącznie dla mężczyzn a warto wykształconych. Tem bardziej zaradza niniejsza potrzebie niniejszej ułożona książeczka znanego zaszczytnie pisarza ks. Jana Gnatowskiego. Mamy więc nadzieję, że się ona rozejdzie bardzo licznie. Oprawę z czarnej miękkiej skórki wykonał gustownie introligator p. Kuczabiński, który jest zarazem nakładcą. Format kieszonkowy ułatwia noszenie tej książeczki przy sobie. Cena od 90 ct. do 1 zł. 20 ct.

Głosy publiczności.

Podziękowanie. Niżej podpisani składamy serdeczne dzięki JW-nemu hrabiemu Stanisławowi Tarnowskiemu, prezesowi akademii umiejętności, za hojny dar przysłany dla najbiedniejszych mieszkańców wsi Śniatynki i Wacowic, dotkniętych gradobiciem w dniu 12 lipca b. r. Śniatynka 6 sierpnia 1894. *Fed' Łepak* wójt gminy Śniatynka. *Stefan Buń* wójt gminy Wacowic.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 6 sierpnia.

(Z.). Bez żadnego widocznego powodu zapanował i dziś prąd zwyżkowy na całej linii. Ale bo też tegoroczny sezon letni jest wyjątkowy. Nawet tacy spekulanci, którzy o tej porze zwykle zrywają wszelki kontakt z giełdą, i siedząc w miejscach kąpielowych zapominają o wszelkich interesach finasowych, w tym roku telegraficznie przez swych ajentów w Wiedniu operują na giełdzie. Dziś było wyjątkowo dużo takich zleceń zakupna od różnych finansistów, bawiących w Karlsbadzie, Ischlu, Gmunden i t. p., a także prywatna klientela z prowincyi bierze udział w ruchu giełdowym i tutejsze kantory mają bardzo dużo zleceń. Po prostu, sfery interesujące się giełdą wierzą w to, że zwyżka musi przybrać wielkie rozmiary, więc nie chcą zaspać sprawy i kupują już teraz. Największy popyt był na walory bankowe i na kilka kolejowych, osobliwie zaś na akcye kolei buszczehradzkiej, dla których targ berliński był dziś bardzo łaskawie usposobiony. W południe osłabł prąd zwyżkowy skutkiem doniesień o nowych zaburzeniach antiwłoskich w Aigues Mortes. Renty jak w ubiegłym tygodniu, tak i dziś były zupełnie zaniedbane.

Wycofanie z obiegu not jednoreńskowych postępuje bardzo leniwo. Przez cały lipiec zdołano ściągnąć ich zaledwie za 3 miliony reńskich. Publiczność nie chce przyjmować monet srebrnych i stara się wszystkimi możliwymi sposobami otrzymać noty. To też jakkolwiek cyrkulacya papierowych guldenów zmniejszyła się cokolwiek, ale za to powiększyła się o 1½ miliona cyrkulacya not pięcioreńskowych.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 363·50, węgierskie 452·50, Anglobanki 164·25, Uniony 265·50, Bankvereiny 137·75, Länderbanki 252·40, Ludwiki 216·10, Czerniowieckie 280·75, Elbethale 266·50, Renta papierowa 98·50, srebrna 98·50, austryacka złota 122·30, 4% austr. renta wal. kor. 97·75, węgierska złota 121·55, 4% węgierska renta wal. kor. 96·—, dukat 5·89—, 20-frankówka 9·90½, marki 12·20—, ruble 1·33¼.

§ **Wiedeń** 6 sierpnia. Spirytus 16·40—16·60.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.**

Kraków 7 sierpnia.

Ceny zboża są już obecnie tak niskie, że właściciele o ile mogą wstrzymują się ze sprzedażą, a że obok tego żniwa i roboty w polu mało zostawiają czasu na omłot, więc zaofiarowanie chwilowo zmniejszyło się poniekąd, a że odbyt, jak był, tak jest utrudniony, to została teraz przynajmniej dalsza zniżka została powstrzymaną. Niewielkie partye nowej pszenicy, jakie dzisiaj znalazły odbiorców, płacono po cenach zeszłotygodniowych. Stara pszenica bez odbytu. Żyto nawet cokolwiek w cenie się podniosło, lecz zapotrzebowanie było tak małe, że zaledwie parę drobnych partyi sprzedano. Jęczmienia nowego nie ma, a stary zaniedbany. Owies, pomimo spadku ceny, bardzo słaby napotyka odbyt.

Płacono pszenicę białą 6·70 do 7·10, czerwoną 6·70 do 7·—, żółtą 6·70 do 7·—, żyto nowe 5·00—5·60, stare 5·00 do 5·50, jęczmień browarny 6·— do 6·25, na kaszę 4·50 do 4·75; owies 5·00 do 6·00; rzepak 9·00 do 9·50. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Z wiedeńskiego targu bydła.** Na poniedziałkowy targ przypędzono 6344 sztuk bydła, a w liczbie z Galicyi 594 sztuk opasowych i 581 chudych. Nie sprzedano 302 sztuk.

Płacono: galicyjskie 54 do 64·00 zł., węgierskie 54—55·00 zł., z innych krajów koronnych 55 do 67·50 zł., krowy 24—33·50 zł., za 100 kilo żywej wagi.

Bydło chude od 20 do 80·— zł. za sztukę.

Telegramy „Przeglądu“.

Wrocław 8 sierpnia. W ubiegłą niedzielę miały miejsce rozruchy robotnicze w miejscowości Bielszowice. Żandarmi musieli użyć broni i zabili jedną kobietę a ranili pięć osób.

Kopenhaga 8 sierpnia. Prezes gabinetu Estrup podał się do dymisyi. Król przyjął ją i zamianował prezesem gabinetu dotychczasowego ministra spraw zagranicznych Reedtz-Thotta.

Genua 8 sierpnia. Na stacyi Aqua-Santa leżącej na linii kolejowej z Genuy do Asti, zetknęły się dwa pociągi. Dziewięciu podróżnych zostało pokaleczonych.

Genewa 8 sierpnia. Głośny malarz Alfred Dumont umarł tu nagle.

Londyn 8 sierpnia. Majtek na parowcu rosyjskim, który przybył przedwczoraj do Gravesand, umarł na cholerę.

Liworno 8 sierpnia. Śledztwo o zamordowanie redaktora Bandiego przybiera prawdziwie sensacyjne rozmiary. Uwięziony na Korsyce i wydany władzom włoskim anarchista Lucchesi przyznał się, że zamordował Bandiego, zarazem jednak podał takie szczegóły i wymienił takie nazwiska, iż zeznania te nadają sprawie taki obrót, jakiego nikt nie mógł przypuszczać.

Wenecya 8 sierpnia. W obec tego, że wiele pism włoskich doniosło, iż Papież napisał list do wdowy po Carnocie z prośbą, aby wstawiła się u prezydenta Casimir-Periera i prosiła go o ułaskawienie Caseria, oświadcza tutejsza *Gazetta di Venezia*, wrzekomo na podstawie informacyi pochodzących ze sfer watykańskich, że Papież nigdy nie uważał za stosowne wpływać na trybunały, tem bardziej gdy się rozchodzi o zbrodnie polityczne.

Sofia 8 sierpnia. Książę Ferdynand przybędzie tu w piątek i zaraz po przybyciu wyda ukaz rozwiązujący sobranie i rozpisujący nowe wybory na 11 września.

Wiedeń 8 sierpnia. Sprawozdanie o stanie zarazy bydlęcej i księgosuszu, konstatuje, że od 1go do 7go sierpnia nie zdarzył się w całej Przedlitawii ani jeden wypadek księgosuszu, a zatem można Przedlitawię uważać za zupełnie wolną od tej zarazy.

Wiener Zeitung ogłasza sankcyonowaną ustawę rozszerzającą obowiązek ubezpieczenia robotników od wypadków.

Wiedeń 8 sierpnia. Celem zapobieżenia zawleczeniu cholery zniosła Dyrekcya kolei północnej zniżone bilety jazdy dla osób udających się na odpust do Kalwaryi Zebrzydowskiej. Aż do dalszego zarządzenia nie będą wcale kursowały osobne pociągi na odpust do Kalwaryi.

Londyn 8 sierpnia. Izba niższa przyjęła w trzeciem czytaniu bil o dzierżawcach irlandzkich.

Sofia 8 sierpnia. Prezes gabinetu Stoiłow i minister wojny Petrow w podróży swej zwiedzili Jamboli, Burgas, Misiwrię i Nową Zagorę. Wszędzie przyjmowano ich uroczyście.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 8 sierpnia. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolei gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 216·50 do 219·50. Kolej Lwow.-Czern. Jassko po 200 zł. w. 279·— do 282·—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. 410·— do 420·—

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 101·10 do 101·80, 5% z 10% prem. 109·80 do 110·50, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·20 do 100·90. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 96·50 do 97·50 Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 97·70 do 98·40. 4% los. w 41½ lat. 97·50 do 98·20, 4% los. w 56 latach 96·60 do 97·30. 4½% los. w 52 lat. —·— do —·—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96·50 do 97·20. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 101·50 do 102·20 Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·20 do 102·90, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 96·50 do 97·20 4% z roku 1893 96·50 do 97·20.

Monety. Dukat cesarski 5·85 do 5·95 Napoleondor 9·85 do 9·95. Półimperyał 10·15 do —·—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1·33 —do 1·35·—. 100 marek niemieckich 60·80 do 61·40

Wiedeń dnia 8 sierpnia, (godz. 11 w połudn. Kredyty 364.50, kred. węgierskie —·—, Anglob. 164·10, Uniony —·—, Bankvereiny —·—, Länderbanki 252.50, Akcye tytoniowe 214.75, Staatsbahny 356·15, Lombardy (z kup.) 110.75 Elbethale — Renta papierowa —·—, Renta węg. 4% kor. —·— Renta węg. złota 4% —·—, Alpiny —·—, Marki 61·10· Losy tur. —·—.

Feljeton literacki.

„**Na schyłku wieku**“, Teodor Jeske-Choiński, Warszawa 1894.

Przedmiot tak bogaty i różnobarwny, jak ruch umysłowy na schyłku naszego wieku i dzieje onego ustawicznego błąkania się, w gonitwie za absolutnemi prawdami, które wielu wydały się wdzięcznem zadaniem dobiegającego swego kresu stulecia, a które pyszałkom i łatwowiernym tak srogie zgotowały rozczarowanie, stanowi nieprzepartą ponętę dla pisarza tej miary i tej ruchliwości, co Teodor Jeske-Choiński. Może niejeden autor zawahałby się wobec olbrzymiego i dziwnie powikłanego materyału, który szczególnie ta epoka nagromadziła, a wśród którego pisarzowi grozi niebezpieczeństwo chaotycznej drobiazgowości z jednej, lub ogólnikowej powierzchowności z drugiej strony. Choiński trwogi tej nie uczuwał i dzięki onej odwadze, posiada czytelnik w jego świeżem studyum szkic śmiały, jasny, dający mu trzeźwe wyobrażenie o krętych drogach, któremi kroczył umysł ludzki, a co ważniejsza, usprawiedliwiający oczywiście sromotne bankructwo, jakie spotkało idee, hasła i prądy, tak wyniośle rozbrzmiewające w wieku pary i elektryczności.

Pracę swoją rozpoczyna Choiński od narodzin pozytywizmu, który wprowadzenie w szeroki świat umysłowy zawdzięcza nie tyle swemu ojcu Augustowi Comte'owi (r. 1823), ale i Emilowi Littremu (od r. 1840 do 1863), jednemu z najżarliwszych adeptów nowej filozofii. Pokrewieństwo i wpływ pozytywizmu na ewolucyonizm fizyologiczny (Darwin); moralny (Spencer); karny (Ferri, Lombroso); historyczny (Buckle); literacki (Taine, Renan); beletrystyczny (Flaubert, Zola) i na materyalizm (Moleschot, Vogt, Büchner) szkicuje autor z wielką zwięzłością i jasnością, wykazując jednocześnie grzechy, błędy, sprzeczności i niedorzeczności tych nowych prądów, które zamiast przyspieszyć wielki tryumf rozumu, wprowadziły tylko zamęt do pojęć, a umysł ludzki wepchnęły do labiryntu najcudaczniejszych hypotez.

Tę epokę tak zawiłą i mętną, która wywarła także fatalny wpływ na literaturę piękną i sztuki, a którą zamyka krańcowy pesymizm Schopenhauera, przedstawił nam autor w konturach wyrażnych i utrzymał związek i konsekwencyę przenikających ją prądów, umiejętnie, tak daleco, że czytelnik istotnie nabiera wyobrażenia jasnego o onym ruchu, który żadnej ze swoich zapowiedzi nie dotrzymał.

Nie godzilibyśmy się w zupełności z autorem, który, zdaniem naszem, zbyt apodyktycznie chwilową wybujałość doktryn pozytywistycznych przypisuje przewadze burżuazyi, wpływom semickim i parweniuszowstwa, zarówno intelektualnemu, jak towarzyskiemu i społecznemu. Zapewne i te czynniki odgrywały pewną rolę, nie były one jednakże tak dalece decydującymi. Nowe prądy czerpały przeważnie swoje soki pożywcze ze stosunków umysłowych, etycznych, politycznych i społecznych, jakie nam przekazał wiek poprzedni, a których posiew w naszem stuleciu począł wydawać owoce.

Jak organizm, zmęczony bezskutecznem szamotaniem się, popada w niemoc i wyczerpanie, tak i umysł ludzki, po bezowocnych a pyszałkowatych zapasach wywalczenia rozumowi bezwzględnego panowania, musiał dojść do pewnej prostracyi. Tej to prostracyi oczywistym objawem jest dekadentyzm, któremu autor poświęcił piąty rozdział swego studyum. Wyprzedził w tym względzie Choińskiego Maks Nordau swoją wyczerpującą pracą „Die Entartung“ (Zwyrodnienie), w której z goryczą zawiedzionego w swoich nadziejach pozytywisty przedstawił ów prąd chorobliwy, zwyrodniony, będący pierworodnem dziecięciem zbankrutowanego pozytywizmu i ewolucyonizmu. Zasługą naszego autora jest, że rysując ten cudaczny objaw, nie pastwił się nad jego epigonami, ale dbały o objektywny sąd czytelnika, z należytym spokojem odsłonił mu owego dziwoląga umysłowego, i to odsłonił z taką precyzyą i bezstronnością, że wytknąwszy cudactwa i błędy, wzbudził jednocześnie pewne politowanie dla zbłąkanych cherlaków umysłowych. Wyznajemy, że ten rozdział zaliczamy do najlepszych z całego studyum Choińskiego, choćby dla tego, że utalentowany pisarz nie rozdrobnił się na szczegóły, a poprzestał na przedstawieniu całości obrazu, który nawet mniej przygotowanego czytelnika przeprowadza szczęśliwie przez labirynt zwyrodniałych pomysłów i chorobliwych halucynacyi.

Po smutnych zawodach i niepowodzeniach, jakich doznał pyszałkowaty rozum, reakcya ku dawnym wierzeniom i ideałom stała się koniecznem następstwem. Wszakże wobec chorobliwego stanu, który wytworzyć się musiał z szamotań umysłu ludzkiego i pierwsze przebłyski owej reakcyi nie mogą być zdrowe, ani trzeźwe, ale noszą to same piętno chorobliwości i cudaczności. Takiemi to objawami są: nowoczesny spirytyzm, neobudaizm, okultyzm i kabalizm, oraz mistycyzm i symbolizm w literaturze, którym Choiński poświęcił V rozdział swojej pracy. Dziwolągi filozoficzne i literackie nie są bynajmniej rzadkością w dziejach rozwoju umysłu ludzkiego, ale tory, po których kroczą ci najnowsi przedstawiciele reakcyjnych kierunków, urągają często zasadom zdrowej logiki i skutkiem tego zasługują na miano nie tyle reakcyi, ile aberacyi. Choiński streszcza się wprawdzie w przedstawieniu ich płodów chorobliwych, ale i te już, które w swojej książce podaje (poezye Mallarmego i dramata Maeterlinka), wystarczają, aby czytelnikowi dać wyobrażenie o ich znaczeniu i wartości.

Rzeczywiste przebłyski pożądanej reakcyi w literaturze zauważyć można w ostatnim zwrocie pisarzy tej miary, co Bourget we Francyi, Leon hr. Tołstoj w Rosyi, z których pierwszy, jak słusznie powiada Choiński „zatęsknił za duszą“ (le Disciple, Terre promise), — drugi zaś, przeszedłszy wiele walk, wśród wiejskiej samotni zmienił swój światopogląd. Nie mniej znamiennym, choć dotąd niezbyt zdeklarowanym, jest ruch nowokatolików we Francyi, na których czele stanął Melchior de Vogüé. Nowe te prądy coraz liczniejszych zyskują sobie zwolenników. Tęsknota upośledzonej duszy i serca ludzkiego pcha nas ku tym zwiastunom nowej, lepszej epoki, dla tego autor nasz świetnie zakończa pracę swoją wypowiedzeniem następnej nadziei:

„Opadną mgły naukowe i artystyczne (spirytyzm, teosofizm, okultyzm, symbolizm) i zgasną łuny społeczne (anarchizm), ujrzymy prawdopodobnie rozkwit jakiejś nowej formy odwiecznego idealizmu, różniącego się tem od równie, jak on, starego materyalizmu, że daje ludzkości afirmacyą, zamiast negacyi, że podnosi ducha, odświeża go i ogrzewa, aby miał siłę, ochotę do dalszej walki z „niepoznawalną“ aby zrobił znów krok naprzód w pochodzie do celu, który dla niego Pan świata wyznaczył.“

Choiński w pracy swojej nie przestał na chwilę być pisarzem chrześciańskim i dla tego tam, gdzie Maksa Nordaua ogarnia gniew i gorycz na widok zawiedzionych własnych nadziei, nasz pisarz piętnuje zbłąkane i zbłąkanych, ale jednocześnie widzi jutrzenkę lepszej przyszłości w powrocie do tych ideałów, która w ciągu wieków wypiastował chrześcianizm.

O ile nam się zdaje, utalentowanemu pisarzowi nie chodziło o pracę wyczerpującą do dna olbrzymi przedmiot, bo na taką 267 stronic jego książki starczyćby nie mogły, ale o ogólny zarys epoki, któryby czytelnikowi, stojącemu na schyłku, pozwolił należycie ocenić prace i dorobki, zarówno jak zawody i straty ginącego stulecia. Ten cel Choiński osiągnął w zupełności. Posiada on przytem niepospolity dar obejmowania całości i utrzymania przy niej uwagi czytelnika, a nadto umiejętnego zestawienia przyczyn i skutków, oraz wykazywania logicznego pokrewieństwa idei i prądów na pozór niekiedy z sobą sprzecznych, a w rzeczywistości tylko zaszczepionych.

Co do formy, zbyt znany jest jędrny i piękny styl Choińskiego, byśmy dodawać potrzebowali, że i tym razem stanowi on jednę z ponęt książki. Wolelibyśmy może, aby autor pozbył się niektórych, zbyt dosadnych określeń, które mogą uchodzić u polemisty, ale rażą u spokojnego badacza. Ten drobny wszakże zarzut w niczem nie osłabia rzeczywistej wartości całego studyum, które ze wszech miar gorąco zalecamy czytelnikom.

1)

VERA

przez *Florence Marryatt*.

ROZDZIAŁ I.

W Błękitnych górach! Jakże rozkoszne widzenie wywołują te słowa! Przed wzrokiem widza, niby bogata panorama, przesuwa się olbrzymi łańcuch wzgórz, o stromych ścian których przylega bujna roślinność podzwrotnikowa. Szumiące wodospady, odbijające od brzegów skał, białą pianę rozpryskują dokoła; wartkie strumienie, toczące się po kamiennem łożysku głębokiemi bruzdami, żłobią łono matki ziemi, a strudzony podróżny, pnąc się z wzgórza na wzgórze, po nużącym pochodzie staje nareszcie na wyniosłej płaszczyźnie, z wysokości której widzi zsypujące u nóg swoich obłoki, niby białe łabędzie o rozpostartych skrzydłach. Zielony wieniec gór, ścieżkami poprzerzynanych, czarodziejskiem kołem otacza dolinę, wpośród której połyskuje ciche i uśpione pod sitowiem wody jeziora. Rzucony wpoprzek niego lekki most łączy dwa brzegi, na których wznosi się angielska osada, znana pod nazwą „Ootacamund". Ocienne świerki, odbijające pobędnie na tle bladego nieba, białe domki gnieżdżące się w zieleni i przytulone do ścian wzgórza, na pierwszy rzut oka przypominają Szwajcaryę; kościół, którego smukłe wieżyczki hardo strzelają po nad szczyty cienistych drzew; róże, geranie i heliotropy o niezrównanem bogactwie barw i woni, rozsypane dokoła i zdobiące nawet płoty przydrożne, przenoszą myśl do Anglii, wtedy gdy niskie, ubogie i nieobłujne chaty Indyan, gromadnie zbite u brzegu jeziora, wskazują wyraźnie, że zapadła ta miejscowość leży w strefach podzwrotnikowych. Długi, kręty łańcuch pagórków, które, niby lekko wzdęte, szmaragdowe fale, rozstępujące się w pośrodku, wiodą wzrok coraz wyżej, aż dopóki dosięgłszy nieba, nie rozpłynie się on w mglistych barwach horyzontu. Orzeźwiające powietrze, przesiąkłe aromatem ziół i kwiatów, płynie z wyżyn, a oko, skąpane w blaskach, z rozkoszą spoczywa na krajobrazie.

A jednak urocza ta miejscowość w Neilgheryach, po za obrębem trzech osadniczych angielskich kolonij: Ootakamund, Konnoor i Jackatalla, prawie że jest nieznaną. Nawet miejscowe plemię Todahów, cofające się coraz bardziej w głąb przed postępem cywilizacyi, wkraczającej w ich napół barbarzyńską dziedzinę, trzyma się zawsze w pewnem oddaleniu od zdobywców. Szałasy ich kryją się przed okiem wśród zarośli krzewów zarastających brzegi jezior i strumyków, a stada bawołów, dostarczające im głównych środków pożywienia, pasą się swobodnie wśród lasów. Jeżeli Todahowie zdolni są zastanawiać się nad szczególnością, to ciekawemby było dla psychologa zbadać uczucia, z jakiemi spoglądają oni na kawalkaty swobodnych jeźdźców, którzy śmiejąc się i dowcipkując, okrążają wesoło co wieczór brzegi ich spokojnego jeziora, gwarem i życiem światowem napełniając ich zaciszne ustronie, a ich, wydziedziczonych panów tej ziemi, mijają ze spojrzeniem obojętności i wzgardy. Maryusz, płaczący nad ruinami Kartaginy, nie przedstawiałby wspanialszego przedmiotu dla malarza, niż którykolwiek z tych biednych pasterzy w brunatnym łachmanie, jak rzymska toga przewieszonym przez plecy, z ogorzałą twarzą o wschodnich rysach i głęboko osadzonych oczach, smutnie zadumanego nad zmienioną postacią swej ziemi.

Była godzina czwarta po południu, a słońce na niebie chylić się zaczęło ku zachodowi, kiedy młody człowiek, wytwornie ubrany, stanął w progu czytelni angielskiego klubu w Ootakamunde i wsparłszy się o drzwi, obojętnie przyglądać się zaczął zebranym gościom.

Mógł on mieć najwyżej lat dwadzieścia cztery, był średniego wzrostu, rysów twarzy ściągłych i arystokratycznych, tak powierzchowność całą, jak i obejściem zdradzał dystynkcyę i dobre wychowanie, ale pełne jego niebieskie oczy i skład ust ocienionych małym zarostem, znamionowały w nim brak stanowczości i męskiej energii. Chłodny wzrok, którym wodził dokoła, napotykając ciekawe spojrzenia skierowane ku sobie z po za każdego dziennika, świadczył, iż był on obcym gościem w tem miejscu.

Naraz z przeciwległego końca sali głos jakiś zawołał przyjaźnie:

— Gordon Romilly!... jak mi Bóg miły!

I mężczyzna o kilka lat starszy od niego zerwał się z miejsca i w pośpiechu przewracając krzesło, poskoczył ku niemu z wyciągniętemi rękoma.

Po pięknych, zimnych rysach kapitana Romilly przemknął cień zadowolnienia.

— Co widzę? Romer! — zawołał. — Nie spodziewałem się nigdy spotkać cię tutaj.

— Ani ja również. Wiedziałem, że jesteś w Indyach, ale przypuszczałem, że kwaterujesz w Madrasie. Kiedyżeś przyjechał?

— Dziś zrana.

Słowa te wycedził zwolna; kapitan Romilly należał bowiem do rzędu ludzi pozujących na wiecznie znudzonych. Flegmatyczność jego i chłód stanowiły żywą sprzeczność ze szczerem, wesołem i niemal rubasznem obejściem jego towarzysza.

— Kopa lat, jakieśmy się nie widzieli, stary druhu! zawołał Romer. — Ale powiedzże mi, co cię tu sprowadziło?

— Potrzeba zmiany — odparł Gordon. — No... i odkąd wylądowałem w tym przeklętym kraju, życie obrzydło mi do reszty.

— Co? Już ci się Indye dały we znaki? To prędko. Cóż u licha, mój kochany! Nie ma trzech miesięcy, jak przybyłeś do Madrasu.

— A czy sam kwaterowałeś tam kiedy?

— Rozumie się. Całe trzy lata.

— No, to się dziwię, że cię jeszcze oglądam przy życiu.

— Cóż ci stare miasto zawiniło, że popadło u ciebie w taką niełaskę?

Tu wszyscy obecni w czytelni pilnie nadstawili słuchu. Oczy poczęły błyskać gniewem na tego młokosa, który z takiem lekceważeniem śmiał się traktować kraj cały.

— Co mi miasto zawiniło? — odparł Romilly. — Otóż właśnie, że nic, mój kochany. Od chwili, kiedy miałem nieszczęście przekroczyć jego bramy, aż do końca mego pobytu pozostawało ono bez przerwy pogrążone w stanie zupełnego umysłowego i towarzyskiego odrętwienia.

— No, no, przesadzasz, bracie. Jakto, czyżby nie było ani balów, ani zabaw, ani obiadów?

— Byłem na jednej, czy dwóch tak zwanych towarzyskich zabawach, ale po upływie pół godziny kołnierzyki tancerzy wyszły z gumy i ułożyły się kołem jak potulne baranki, a twarze kobiet stały się tak straszne, że aż niemiło o tem wspominać. Brr!... Rozumie się, że potem nie dałem się już złapać na podobne fety.

— Musisz jednak przyznać, że dają tam wyśmienite obiady.

— Zapewne, gdyby tylko kto miał sposobność pokosztowania ich, ale przy zaprowadzeniu nowego sposobu podawania ich à la Russe, raz tylko udało mi się zdobyć zimny kotlet i grzebień koguci. Nie mogę więc zaświadczyć o doskonałości waszej narodowej kuchni.

— Nie znajdziesz więc ani słowa uznania dla naszych festynów?

— Przeciwnie, szampan mrożony jest doskonały. Gdyby nie to jedno, wątpię czy dożyłbym do tej pory.

— Wyglądasz jednak znakomicie i niktby nie przypuścił, że byłeś narażony na niebezpieczeństwo utraty życia z nudów. No, a damy... cóż powiesz o damach, Gordonie?

Czując wszystkie spojrzenia morderczo skierowane ku sobie, Romilly odparł, że nie rozumie zapytania.

— Daruj mi... — wycedził ironicznie.

— Cóż? przyznaj się. Czy nie straciłeś serca do której z madraskich piękności? — spytał Romer, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu na widok zgrozy, jaką bluźniercze odpowiedzi jego przyjaciela wzbudzały w obecnych.

— Nie widziałem żadnej — odparł Romilly.

— Cóż znowu? Żadnej młodej miss, świeżej jak pączek różany, prosto importowanej z Anglii? żadnej zalotnej wdówki, pragnącej pocieszyć się w powtórnych związkach?

— Przedstawiono mnie dwom, czy trzem dziewczętom prosto z pensyi, ale ile razy otworzyłem do nich usta, wyglądały tak, jakby się spodziewały, że zaraz spadnie z nich oświadczenie... dałem też za wygranę podobnym znajomościom. Faktycznie — dodał, wyciągając srebrną papierośnicę i upatrując przyzwoitej ofiary na całopalenie — odkąd jestem w tym przeklętym kraju, nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać kobiety, któraby zasługiwała na tę nazwę.

Tu już oburzenie obecnych doszło do kulminacyjnego punktu. Szpakowaty mężczyzna, w obcisłym wojskowym mundurze, przyskoczył do wojskowego przybysza i gromkim głosem zawołał:

— Jeżeli pan tak twierdzisz, to nie musiałeś pan mieć zaszczytu być przedstawionym pani komendantowej Dowdson, ani pani generałowej Mac Squirt, które są najpiękniejszemi kobietami, jakie istnieją na kuli ziemskiej.

Gordon zmierzył chłodnym wzrokiem zaperzonego obrońcę narodowej sławy i nie odpowiedział nic na to.

(Ciąg dalszy nastąpi).

L. 33.958.

Ogłoszenie konkursu.

Wydział krajowy królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkiem księstwem Krakowskiem rozpisuje niniejszem konkurs na posadę profesora fachowego, ewentualnie na posadę nauczyciela-adjunkta w krajowej szkole gospodarstwa lasowego we Lwowie.

Do posady profesora fachowego przywiązaną jest płaca roczna w kwocie 1300 zł. dodatek aktywalny w kwocie 400 zł. tudzież prawo do pięciu dodatków pięcioletnich po 200 zł.

Do posady nauczyciela-adjunkta przywiązaną jest płaca roczna w kwocie 1000 zł. dodatek aktywalny w kwocie 300 zł. tudzież prawo do pięciu dodatków pięcioletnich po 150 zł.

Profesor, jakoteż nauczyciel-adjunkt jest urzędnikiem krajowym, ma przeto wszelkie prawa i obowiązki, wypływające z krajowej ustanowy służbowej z dnia 23 marca 1866 r. i statutu emerytalnego z dnia 21 stycznia 1889.

Posady te obsadzone będą na razie prowizorycznie a stabilizacya nastąpić może po dwóch latach, ewentualnie po złożeniu egzaminu kwalifikacyjnego nauczycielskiego, gdyby prowizorycznie zamianowany, egzaminu tego nie posiadał.

Chcący ubiegać się o te posady, winni wnieść do Wydziału krajowego udokumentowane podanie swoje najdalej do 10 września 1894 r. i przedłożyć:

1 Metrykę urodzenia. 2 Dokładny życiorys wykazujący wszelkie odbyte studya jak i dotychczasowe zatrudnienie. 3. Świadectwo, udowadniające kwalifikacye do zajmowania posady, o którą kompetują, mianowicie a) Świadectwo z ukończenia studyum leśniczego na akademii rolniczo-leśniczej w Wiedniu lub innej równorzędnej, b) Świadectwo ze złożonych egzaminów państwowych wszystkich trzech stopni. c) Dowody praktyki w zawodzie leśniczym. d) Świadectwo z egzaminu kwalifikacyjnego nauczycielskiego trzeciej kategoryi.

Od warunku pod a) uwolnieni być mogą zupełnie tacy kandydaci, którzy pracując już lat kilka w zawodzie nauczycielskim złożyli dowody uzdolnienia do tego zawodu czasowo zaś tacy kandydaci, którzy złożą pisemną deklaracyę, że w terminie nieprzekraczalnym dwuletnim, świadectwem kwalifikacyjnem nauczycielskiem się wykażą.

Z Rady Wydziału krajowego królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wiel. ks. Krakowskiem.

Lwów dnia 31 lipca 1894.

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Masłowski. — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni ... W. Maniackiego, — Zarządca W. Hodak